

Wiciowa
DROGA



DWUTYGODNIK ŁÓDZKIEGO ZWIĄZKU MŁODZIEŻY WIEJSKIEJ

Nr 5 | ŁÓDŹ, 11 SIERPNIA 1946 R. | Rok 1

Konferencja w Paryżu

Stajemy wobec zjawiska, któremu na imię wojna. Różne są koncepcje w określaniu jej przyczyn. Nie będziemy w tym artykule zajmować się analizą poszczególnych teorii, które najczęściej prowadzą do krancowo różnych wniosków. Ograniczymy się tylko do stwierdzenia faktów historycznych, które głęboko pojęte, dużo mówią i dużo uczą.

Właśnie ze studiowania tych faktów historycznych zrodziło się wszystkim znane powiedzenie Cycerona: Historia magistra vitae — historia mistrzynią życia.

Ze spokojem bezstronnego badacza, odwracając kartę za kartę dziejów ludzkich od czasów zamierzchłych po dzień dzisiejszy — stwierdzić musimy, że:

1) Rozwój ludzkości całej i pojedyńczych narodów warunkują dwa czynniki: walka i współdziałanie.

2) Walka jest czynnikiem przeważającym.

3) Istota walki czyli wojny od czasów najdawniejszych do chwili obecnej nie uległa absolutnie najmniejszej zmianie, przybliżając tylko coraz to inne formy, mniej lub więcej szumnie i szczytnie nazwane. Istotą tą jest i był zawsze **wyzysk.**

4) Każda wojna w mniejszym lub większym stopniu jest pewnym słupem granicznym, członkującym dzieje danego narodu, czy grupy narodów na odcinki, epoki, czy okresy.

5) W wyniku każdej wojny obserwujemy z jednej strony wyniszczenie, zarzucenie dotychczasowych starych form życia, z drugiej zaś dążności do szukania czegoś nowego, doskonalszego, co pozwoliłoby uniknąć dawnych błędów.

6) Obecnie, w pojęciu ogółu ludzkości, wojna pojmowana jest jako zjawisko absolutnie złe, negatywne, a pokój, jako zjawisko pozytywne.

Biorąc wszystkie te punkty pod głęboką rozwagę, będziemy mogli docenić ważność chwili obecnej, która jest niewątpliwie punktem zwrotnym w życiu narodów.

Po największym kataklizmie, jaki nawiedził ludzkość w postaci ostatniej wojny światowej, ludzkość ta poprzez swoich delegatów przystąpiła do wielkiej światowej umowy — do konferencji pokojowej, która ma odgraniczyć na okres możliwie jak najdłuższy wszelkie zjawiska pozytywne od negatywnych. Ma być położony kres wszelkiej przemocy, wszelkim brutalnym siłom — ma być położony kres walce, której przedmiotem jest niski wyzysk, a rozpoczęty ma być okres nowy, którego istotą będzie współdziałanie sił zmierzających do stworzenia jak najbardziej sprzyjających warunków w skali wszechludzkiej, do wytworzenia dóbr duchowych i materialnych.

Obecna konferencja pokojowa ma radykalnie zapobiec powtórzeniu się sytuacji, która miała miejsce w niedalekiej przeszłości, a która była następstwem romantyzmu ówczesnych mężów stanu, następstwem zbyt pohopnie przyjętych koncepcyj. Rozumie się, że mam na myśli konferencję pokojową po pierwszej wojnie światowej, która przez swój romantyzm i entuzjazm, pogrążyła świat w najokropniejszej pożodze niedawno zakończonej wojny.

Dzisiaj wszystko wskazuje na to, że błędy poprzedniej konferencji nie będą miały miejsca. Po pierwsze dlatego, że dzisiejszych mężów stanu cechuje zmysł realnego ujmowania zjawisk, zimna kalkulacja i trzeźwość, a z drugiej strony większe zrozumienie niedomagań chorej ludzkości. Wodzowie dzisiejszego świata rozumieją konieczność wprowadzenia demokracji społecznej, która stała się obecnie zjawiskiem nieodwracalnym i koniecznym. Wszystko, co stanie na drodze demokracji zostanie zepchnięte, bo zatraciło wszelkie podstawy istnienia, bo rozminęło się z duchem czasu, streszczającym się w jednym słowie: —

wolny człowiek. Konferencja pokojowa spełni należycie swoje epokowe zadanie, jeżeli nie rozminie się z tą epoką, jeśli oś obrad stanowić będzie na jej krańcach **Ludzkość i Człowiek.**

Konferencja ma tylko dopełnić i uprawomocnić to, do czego doszedł świat po ciężkich doświadczeniach i uznał za warunek pełnego rozwoju: współdziałanie, walka z wyzyskiem, uniemożliwienie wojen i nadanie człowiekowi przynależnej mu z przyrodzenia swobody w pracy twórczej.

O tym wszystkim muszą pamiętać poszczególni delegaci, muszą zdać sobie sprawę z ogromnej odpowiedzialności jaką obarczyła ich społeczność, mająca wpływ na obrady konferencyjne, i nadzieje, jakie w nich ludzkość pokłada — spełnić.

Bowiem ludzkość nigdy nie pójdzie w swym marszu drogami narzuconymi. **Stanisław Panak**

Bałtyk szeroko widziany

Gdy szukamy w umyśle skojarzeń z pojęciem „morze" i „polskie morze", a wiemy coś nie coś jak to było dawniej z naszym do niego dostępem — rysuje się nam w myśli porównanie między Bałtykiem międzywojennym, a dzisiejszym. Nie jeden z nas wspomni sobie dzieje tego bursztynowego morza w czasach, kiedy łodzie słowiańskie kursowały od Rugii do ujścia Niemna, zanim nie przyszli z północy Wikingowie i od zachodu bardziej od nas cywilizowani, a gorsi od barbarzyńców — Niemcy. Pamiętamy nasze nikłe zainteresowanie Bałtykiem w epoce piastowskiej i za Jagiellonów, pamiętamy Władysława IV i zwycięską morską bitwę ze Szwedami pod Oliwą, oraz rozkwit Gdańska, gdy tylko żył z Polską w dobrych stosunkach. Przypominamy sobie jak kurczył się nasz stan posiadania wybrzeży Bałtyku, by od końca XVIII wieku zniknąć zupełnie na lat sto kilkadziesiąt.

Tych, którzy znają choćby z grubsza nasze dzieje morskie, obdarzamy jeszcze przypomnieniem Jana z Kolna, żeglarza polskiego w służbie duńskiej, który podobno przed Kolumbem odkrył Amerykę. Przypominamy o naszych stosunkach handlowych z zachodem po przez miasta i porty hanzeatyckie (niemiecki związek handl. miast., do których należał Gdańsk, a nawet i Kraków). Przypominamy jak rozumieliśmy znaczenie morza w dobie upadku. Przypominamy wreszcie literaturę, która „odkrywała" nam morze na nowo (Żeromski).

Odzyskanie niepodległości po W. wojnie było tylko ułamkowym urzeczywistnieniem naszych myśli o morzu. Uczyniliśmy w dwadzieścia lat wiele, ale „Okno na świat" wzdłuż 72 km. wybrzeża było małym okienkiem i nie zaspokajało naszego głodu ku szerokiemu światu.

Nie myślmy już o tym, co było i oderwijmy się od rozmarzenia jakie budzą w nas dawne dzieje, ryby i bursztyny, po które wędrowali nad Bałtyk nawet Arabowie. Stańmy na gruncie rzeczywistości i wyobraźmy sobie, że stoimy nad morzem, a dana nam jest możność szerokiego widzenia.

Popatrzcie. Jak okiem sięgnąć przed nami szaro-zielone fale, zlewające się z widnokręgiem, a po bokach pas złotego piasku, po którym swobodnie poruszają się nasi najbliżsi i rodacy od wyspy Uznam, aż do zalewu wiślanego. To wszystko jest nasze, moi koledzy, to jest nasze, polskie wybrzeże — 500 km. oddechu ogromnego świata, który pachnie zrazu solą i rybami, a później całym światem i szczęściem. Tego wybrzeża, jeśli dodać linię wzdłuż półwyspów i wysp, jest nawet blisko 850 km i wszędzie jest piasek, na którym suszą się sieci rybackie, wszędzie pachną śledzie, a od czasu do czasu dźwięczą kotwice, dudnią dźwigi portowe i przesuwają się sylwetki statków. Mamy 16 portów, moi mili, w tym trzy duże nowoczesne porty posiadające największą zdolność przeładunkową na Bałtyku. Mamy szeroki pas zaplecza, które gotowe podbić Europę wywózką węgla. Czy to nie jest spełnienie marzeń?

Będziemy mieli co raz większą flotę i co raz więcej z pośród znajomych, a może i w rodzinie, marynarzy. Minie wiele lat zanim przestaną być dla nas nowością wyjazdy letnie do Sopotu, Ujścia Słupskiego i Świnoujścia. Będziemy mieli poddostatkiem ryb, a świat naszego węgla.

Aby zaś radość nasza miała trwały grunt pod nogami (albo raczej: trwałe morze), przestańmy się na chwilę cieszyć i pomyślmy, że każdy entuzjazm po odzyskaniu własności dawno utraconej posiada pewien głos niepokoju. Jest to raczej potężny głos obowiązku, jaki staje przed nami, aby pobudzić nas do czynu. Bo, trzeba Wam wiedzieć, czekają nas trudne i długoletnie borykania się, aby zaludnić i zagospodarować wybrzeże. Mamy przed sobą ogromną stawkę, którą jeśli wygramy, — czeka nas dobrobyt, odwrotnie — gdy ją przegramy — nigdy już nie wypłyniemy na oceany.

Takie chwile trzeźwego rozsądku są niezmiernie pożyteczne i, dopiero co obchodzone Święto Morza, unaocznia nam perspektywy przyszłości (bałtyckiej) naszego Państwa, jeśli tylko włożymy w zagadnienie morskie odpowiedni ładunek nie tylko projektów, ale i potężnego wysiłku. Nie upajajmy się więc długo i pamiętajmy, że po za pluskiem fal morskich Bałtyku, który jest tylko niewiele większy od Polski trwa wyczerpująca praca naszego rybaka i naszego marynarza.

Pamiętajmy również, że „tu na morskim ramieniu dźwignąć jego siły, możemy ustalić szacunek innych narodów dla naszej pracy pokojowej i współpracy gospodarczej". (E. Kwiatkowski).

Uczmy się więc morza i obowiązków względem niego i wiedzmy raz na zawsze, że dobrobyt i znaczenie naszej ojczyzny w dużej mierze zależy od Wybrzeża. Jest to właśnie najwłaściwszy nasz punkt widzenia — jest to nasz Bałtyk, szeroko widziany.

Henryk Jakóbczyk

W naszej świetlicy

Z POEZJI WALCZĄCEJ WARSZAWY

Żądamy amunicji

Tu zęby mamy wilcze, a czapki na bakier,
Tu u nas nikt nie płacze w Walczącej Warszawie.
Tu się Prusakom siada na karku okrakiem
I wrogów gołą garścią za gardło się dławi.

A wy tam wciąż śpiewacie, że z kurzem krwi bratniej,
Że w dymie pożarów niszczeje Warszawa,
A my tu nagą piersią na strzały armatnie,
Na podziw wasz, na śpiew i na wasze brawa.

Czemu żałobny chorał śpiewacie wciąż w Londynie,
Gdy tu nadeszło wreszcie oczekiwane święto?
U boku swoich chłopców walczą i dziewczęta
I małe dzieci walczą i krew radośnie płynie.

Hallo!.. Tu serce Polski!.. Tu mówi Warszawa!
Niech pogrzebowe śpiewy wyrzucą z audycji!
Nam ducha starczy dla nas i starczy go dla was!
Oklasków też nie trzeba! Żądamy amunicji!

ZBIGNIEW JASIŃSKI (Rudy)

Z dawnych dni...

Pamiętam moment wstąpienia w szeregi armii podziemnej. Jeden z kolegów wtajemniczywszy mnie w tutejszą pracę podziemną obiecał mnie skontaktować z komendantem. Jednego wieczoru dobrym zmrokiem udaliśmy się na miejsce spotkania. Było to pod lasem na łączce wśród kęp olszyny. Spod jednej z kęp wyłoniła się postać wysokiego mężczyzny.

— „Czy to wy Fikacz?"

— Tak jest komendancie.

— Prowadzicie tego nowego?

— Tak jest.

Wysoki człowiek zbliżył się do mnie, podał mi rękę.

— Czy jesteście Polakiem? — padło pytanie.

— Skądże takie pytanie — odpowiedziałem nieśmiało.

— Proszę odpowiadać. Czy jesteście Polakiem?

— Naturalnie.

— Czy pragniecie wyzwolenia Ojczyzny spod przemocy okupanta?

— Tak jest — powiedziałem z mocą.

— Czy gotowi jesteście walczyć i zginąć za Nią?

— Tak jest — odpowiedziałem bez wahania.

— Więc przyjmuję was w szeregi żołnierzy wolności. Zapłatą waszą wolna i niepodległa Polska. Zdrada karana będzie śmiercią... Pseudonim wasz? —

— Jeż.

— Złożycie teraz przysięgę, a więc uważać: Baczność! Dwa palce prawej ręki do góry!

Dygocząc z podniecenia i wrażenia wykonywałem polecenia.

— „W obliczu ..... przysięgam...."

Padały słowa uroczyste i mocne choć przytłumione. Powtarzałem je drżącym głosem. Czułem, że coś we mnie wchodzi, jakaś moc, siła, że gotów byłem zdecydować się nawet na największe szaleństwo w imię Ojczyzny poczęte.

Przysięga skończyła się.

— Opuścić rękę. I spocznij!

Komendant ściska mi dłoń.

— Życzę wam, abyście byli dobrym żołnierzem. Moje imię Jacht. A teraz żegnam was. Czołem Koledzy!

— Czołem, czołem!

Od tej chwili oddałem się całkowicie pracy konspiracyjnej. Rozpoczęło się nocne szperanie za bronią po stawkach, norach leśnych, bagnach; czyszczenie broni, pogadanki, zbiórki, ćwiczenia. Lecz wszystko to się odbywało w spokoju, bez przygód. Będąc na stanowisku łącznika obwodowego jeździłem kilka razy do Warszawy, przywo-

STANISŁAW THUGUTT 1938 r.

Listy do Młodego Przyjaciela

Pieniądz niech ci będzie sługą, nie panem.

„Nie będę was namawiał, żebyście pozostali w ubóstwie; w większości wypadków stanie się to i bez mojej namowy. Wręcz przeciwnie, radzę wam — zdobądźcie zamożność.

Nie znaczy to, żebym dla ubóstwa miał pogardę. Gardząc ubóstwem musiałbym mieć dla całego stanu chłopskiego pogardę, dla wszystkich tych źle czy może raczej nieszczęśnie urodzonych ludzi, którzy pracują, a nie dostają należnej im zapłaty. Człowiek, który urodziwszy się synem bogacza gardzi innymi, którzy się w biedzie urodzili, jest głupcem. Tak samo mógłby tłusty dworski pies żrąc z pełnej miski, gardzić chudym wiejskim kundlem, który razem ze swoim panem głoduje. Człowiek, który się panoszy nad innych, że nie potrafią jak on zdobyć majątku nieuczciwością — jest łotrem. Gdyby wszyscy wszystkich zaczęli okradać, musiałby ktoś z tęgim kijem przyjść zrobić porządek.

Nie gardzę ubóstwem, ale się z nim i nie godzę. Dlaczego mielibyśmy się z nim godzić? Jeżeli z niewiary w swoje siły, powiem wam, że kto w siebie nie wierzy, idzie do dna! Jeżeli z pokory, to taka pokora nie byłaby żadną cnotą. Pokornym trzeba być wobec starca, wobec zasługi, wobec nieszczęścia, ale pokora wobec cudzego majątku, w dodatku często źle zdobytego majątku, byłaby tchórzostwem, a może i podłością. Czasami mówią, że całe nasze życie to fraszka, a zapłatę dostaniesz na tamtym świecie. Ci, co ci to mówią, zwykle sami tłusto jadają. Spróbuj ich poprosić, żeby się z tobą zamienili choć na jedną chwilę; zapłacisz im przecież doskonałym pieniądzem, bo zbawieniem ich duszy.

Ale są dwa sposoby zdobywania majątku. Jeden — przez chciwość. Tak, kłami i pazurami zdobywa wilk żywność w lesie, myśli tylko o sobie, co najwyżej o swoich szczeniętach. Zjada każdego, kto jest od niego słabszy, nawet innego wilka, jeśli złamie nogę. Może się zdarzyć, że sam zostanie zjedzony. To jest niedobry sposób. Człowiek, który go używa, zostaje czasami bogatym, prawie nigdy nie zostaje szczęśliwym. Jeżeli nawet sumienie mu wyschło i stwardniało jak skóra na podeszew, gnębi go pragnienie coraz większego bogactwa. Pomnożył już swój majątek w dwójnasób: dlaczego nie miałby go dziesięciokrotnie powiększyć? Nie wyzyskują go już inni: teraz on sam chciałby żyć z wyzysku, z ludzkiej pracy za niedostateczną zapłatę, z ludzkiej krzywdy bodajby, już sam nie wie, po co zbiera pieniądze: może dla syna, który je przepije, może dla złodzieja, który go okradnie.

Jest inny sposób zdobywania zamożności — przez sprawiedliwość. Jeżeli jesteś biednym i mieszkasz w biednej wsi, dlaczego nie mielibyście wszyscy razem, wspólnym, braterskim wysiłkiem podźwignąć się z upadku. Wszyscy jesteście przecie ludźmi z tego samego pola — krzywdy społecznej. Macie dużo na to sposobów. Zakładajcie spółdzielnie, które was ochronią od wyzysku handlarza. Zakładajcie kasy pożyczkowe; to tak jak byście idąc w jednym szeregu nie dali upaść żadnemu spośród siebie, kiedy mu się potknie noga.

Nie wiem, czy przez to zdobędziesz mniejszy majątek, zdobywając go razem z innymi. Wiem tylko, wiem to na pewno, że kiedy dokoła siebie będziesz widział dużo wesołych twarzy ludzi, którym dopomogłeś do lepszego życia, to i ty sam się radośnie uśmiechniesz, ty mój daleki bracie, który nie wiesz, co robić ze swoją młodą siłą. I taki majątek nie zgubi cię i nie zwala, bo będzie twoim sługą nie panem.

To, że ty jesteś biedny, to jest źle. Ale nieszczęściem, wielkim nieszczęściem jest dopiero bieda całego ludu. Zacznij z nią walczyć na śmierć i życie, a zobaczysz jak przybędzie ci sił".

---

ziłem nieraz całe masy prasy podziemnej, a nawet, do Łowicza woziłem amunicję. Mijałem się z żandarmami, nieraz mi tam dusza na ramieniu ze strachu siedziała, ale cudem jakimś nie miałem żadnych zajść godnych wzmianki. Sytuacje bywały nieraz naprawdę niebezpieczne, lecz przechodziły obok mnie. W godzinę po mej bytności u komendanta powiatu został on zabrany przez gestapo. Drugi raz, dziesięć minut po moim wyjeździe z Łowicza rozpoczęła się tam wielka łapanka. Na skutek denuncjacji miała miejsce „wsypa" w naszych szeregach. Aresztowano kilku podoficerów mających bezpośredni kontakt ze mną. Przez kilka tygodni nie sypiałem w domu, lecz nie wydało się więcej. Raz tylko miałem zdarzenie, że dusza nie tylko, że na przysłowiowym ramieniu siedziała, ale pawie uciekła aż na belkę w stodole, bo tam miał miejsce fakt, który zamierzam skreślić.

Jednego popołudnia w stodole pewnego gospodarza czyściliśmy broń. Było nas tylko trzech. Właśnie rozkręciliśmy dwa karabiny i zaczęliśmy czyścić poszczególne części, gdy słyszymy warkot motoru samochodowego. Wyglądam przez szparę w dachu na drogę i, o zgrozo!, pełen samochód żandarmerii staje na wprost podwórka. Zmartwiałem. Rzucam jednak krótko kolegom: „Nakryć wszystko słomą, żandarmeria!" Chłopaki raz dwa nakryli jako tako słomą i wszyscy zsunąwszy się z waszty na klepisko naradzamy się gorączkowo co czynić. Uciekać nie ma sensu bo spostrzegą. „Bronić się psiakrew ni ma czym." — cisnął przez zęby młody „Bratek". „A mówiłem wziąść jeszcze jeden karabin z amunicją" — wtrąca „Jeleń". Tymczasem samochód skręca w podwórko i znów się zatrzymuje. Żandarmi z karabinami wyskakują... Przez szpary we wrótni patrzymy na tych zielonych psów i każdy po swojemu rozmyśla już o końcu. „Chłopcy, aby się trzymać i nie wydawać" — rzuca „Jeleń". Lecz nikt mu nie odpowiada.

A żandarmi wyskoczywszy z samochodu nie rozsypują się, jak to winni czynić, robiąc obławę tylko stoją przy wozie. Przychodzi mi myśl: „chłopaki, bierzemy się za jakąś robotę, jakby nigdy nic, może to nie specjalnie po nas — wykrztuszam

Dożynki

Dożynki są bardzo dawnym obrzędem. W ciągu długich lat historii wsi są one nierozerwalnie związane z chłopem. Dzień dożynek jest radosnym dniem zwycięstwa trudu chłopskiego. Sam obrzęd dożynkowy ma jednak wiele złych tradycji. W czasach pańszczyźnianych dożynki były poniżającym hołdem składanym osobie dziedzica. W popańszczyźnianym okresie sprawa zaczęła się powoli poprawiać, coraz częściej w mowach i śpiewkach dożynkowych przebijać poczęła nuta buntu, dumy i godności chłopskiej. W miarę otrząsania ze siebie „duszy pańszczyźnianej", w miarę wzrostu poczucia własnej wartości zmieniała się atmosfera żniwnego święta. Mamy wypadki niejednokrotne z przed wojny, kiedy to przed panem starostą czy wojewodą stawali z wieńcem ludzie nie pokorni i schlebiający, ale właśnie dumni i hardzi.

Wiele na wsi się ostatnio zmieniło i zmienia się nadal. Dlatego też musi się zmienić charakter dożynek. Młodzież wiciowa organizująca święto żniwne winna wystrzegać się „pańszczyźnianych pozostałości", jakie często jeszcze dzisiaj w obrzędach dożynkowych się przewijają. Dożynki roku 1946 winny być świętem zwycięstwa chłopskiego trudu, świętem chłopskiej siły i wiary w lepsze jutro. W przemówieniach, pieśniach, inscenizacjach, recytacjach winien przebijać kult pracy, braterstwa i wiara, że młode pokolenie wsi, które potrafi wydobyć z matki — ziemi chleb, potrafi również przebudować życie wsi i państwa na lepsze i sprawiedliwsze.

Pod tym kątem powinni na dożynki patrzeć ich organizatorzy.

Całe święto żniwne radzilibyśmy podzielić na trzy części:

1. Korowód,
2. Właściwy obrzęd dożynkowy,
3. Śpiewki, inscenizacje, recytacje.

W korowodzie, który przesunie się przed oczyma zebranej gromady winny znajdować się wszystkie narzędzia, jakie w ciągu roku były używane. Nie należy pominąć również (jeśli takie są w okolicy) traktorów, żniwiarek, pługów wieloskibowych i. t .d. Korowód taki urozmaicić możemy pieśniami, inscenizacjami, czy recytacjami na temat poszczególnych prac rolniczych (np. orka, siew, korzenie).

2. Kiedy korowód przesunie się, winien następować właściwy obrzęd dożynkowy. Grupa młodzieży zbliża się do wybranej starszyzny gromadzkiej (śpiewa przy tym pieśń żniwiarzy) i wręcza jej wieńce. Następują tu zwykle przemówienia starosty dożynek, oraz tego, który z rąk młodych otrzymał wieniec. Po tym winno mieć miejsce tradycyjne dzielenie się chlebem. W ten piękny akt wprowadzić można doskonale odpowiednią inscenizację. (np. „Błogosławiona dobroć człowieka). 3. W trzeciej części poprzez odpowiednio dobrane pieśni, inscenizacje i recytacje winna młodzież wykazać starszemu społeczeństwu swoją wolę tworzenia lepszego życia opartego na sprawiedliwości i braterstwie. Materiały do dożynek znaleźć można w książce P. Greniuka pt. „Plon niesiemy plon", oraz w nr. 28 „Wici" z dnia 21. 7. 1946 roku.

Jotes

---

i wszyscy odchodzimy od wrótni. W stodole stała sieczkarnia. Dalejże dwóch nas kręcić korbą, a jeden do kładzenia słomy i rżniemy sieczkę aż trzeszczy. Po pewnym czasie słyszymy, jak furtka do stodoły uchyla się, ale się nie oglądamy na nic, tylko rżniemy aż pot leci z czoła i... zamiast grubego szwabskiego ryku, słyszymy ciche: „chłopaki, no jak tam?" żona naszego gospodarza wchodzi blada jeszcze, ale uśmiechnięta. „Już po strachu, pojechali" — mówi cichym, drżącym jeszcze głosem.

Zajęci pracą nawet nie słyszeliśmy odjeżdżającego samochodu. Okazało się, że samochód skręcił tylko po to w podwórko, by zawrócić i odjechać spowrotem.

„Aleście narżnęli sieczki, toć koń będzie miał na dwa dni!" — wykrzyknęła nasza gospodyni, patrząc na pokaźną kupkę pod sieczkarnią. Patrzymy i śmiejemy się wszyscy.

Po sprawdzeniu dokładnym gdzie ta paczka, co nam tyle strachu napędziła, — bierzemy się na nowo do pracy.

Pod koniec roku 1944 praca konspiracyjna naogół ucichła na skutek licznych aresztowań w terenie. Przyszło szaleńcze powstanie warszawskie, a potem spadł na nas dziwny niepokój. Ziemia coraz bardziej dudniła od zbliżającego się frontu. Aż przyszedł czas, że wraża potęga pruska w gruzy się walić poczęła. Ale najprzykrzejsze mi było to, że tyle pracy włożyło się w tę sprawę konspiracyjną i gdy przyszedł czas — nie było nas w akcji. Kontakty porwane, żadna akcja nie podjęta. Nie żałuję tej pracy, zbyt droga mi była, ale na cóż się ona zdała?...

I przyszedł dzień 18 stycznia 1945 roku. Ranek wstał dziwnie cichy. Pochmurno było i mglisto, lekki mróz szczypał nieco po twarzy. Nie było słychać ni huku dział, ni szumu samolotów. Między ludźmi wieści krążyć poczęły, że Niemcy już uciekli, że Rosjanie już w Łowiczu, że może dziś tu będą Tak zeszło do południa. Po południu na niebie od strony wschodniej ukazały się eskadry samolotów. Płynęły majestatycznie bombowce, a nad nimi, obok, pod, to wprzód, to do tyłu harcowały, jak młode źrebaki myśliwce. Przeleciały z szumem nad naszymi głowami i za chwilę słychać było istne pieklo, huk, szum motorów, terkotanie karabinów maszynowych. Ludzie wylegli przed domy patrzeć i słuchać tej śmierciowej muzyki, która wyzwolenie niosła. „Boć, to już ruskie powiedziano". Z za lasu dał się słyszeć jakiś łoskot szum i warkot. Zbliżał się, potężniał, aż echo roz-

ST. MŁODOŻENIEC

Dożynkowe przyśpiewki

Melodia piosenki „Szedł sobie gajowy przez lasek dębowy".

— Wiciarze — żniwiarze
Coście wy zebrali?
— kilka ziarek wiary —
cały sznur korali.
Któż tę wiarę posiał
i na czyim polu?
— Na chłopskich zagonach
chłopska siała dola.

— Wiciarki żniwiarki,
jakież wasze żniwo?
— Kilka ziarek wiary
na przyszłość szczęśliwą.
— Komuż to wróżycie
szczęście w waszym słowie?
— Wszystkim ludziom pracy,
całemu ludowi.

— Wiciarze — kosiarze,
co jeszcze sieczecie?
— Wycinamy oset
tyle go na świecie.
— cóż to jest za oset
i na czyim polu?

— Pełno tego w Polsce —
zwie się on samolub.
— Wiciarki żniwiarki,
cóż wam to po sierpie?
— Wycinamy zielsko —
nie możemy ścierpieć.
— a cóż to za zielsko —
w czyich rośnie sadach?
— To są ci, co ciągle
lubią jeno gadać.

CHŁOPCY: Wiciarki?
DZIEWCZĘTA: Wiciarze?
RAZEM: Jakież nasze słowo?
DZIEWCZĘTA: Prostować.
CHŁOPCY: Budować.
RAZEM: Stawiać wieś na nowo.

CHŁOPCY: Wiciarki?
DZIEWCZĘTA: Wiciarze?
RAZEM: Jakaż nasza droga?
DZIEWCZĘTA: W jedności.
CHŁOPCY: W gromadzie.
RAZEM: Stawiać wieś na nogach.

„Hędrola"

(Pamięci przedwcześnie zmarłego chłopskiego malarza H. Markowicza z Godzianowa poświęcam w dziewiątą rocznicę śmierci).

Był to wisus i urwipołeć jakiego trudno spotkać. Matka i ojciec nie mogli mu od maleńka dać rady. A kiedy rozpoczął już chodzić do szkoły, to całe zmartwienie zwaliło się na nauczycielkę. Uskarżała się biedaczka często, że mu nijak do rozsądku trafić nie może. Nie to, żeby coś psocił czy komuś dokuczał nie, tylko taka to już była przechera, wszystko koło siebie widział po swojemu często nawet na opak, jednym słowem miał jakąś swoją filozofię.

W domu było ich pięcioro, cztery siostry i on „wśród" nich. Wszystkie go się bały jak ognia. Każdą z nich stosownym wyzwiskiem obdarzał, wiedział czym może której najbardziej dokuczyć. „Siostrzyczki" nie były mu dłużne. Zbliska bały

---

chodziło się w pobliskim lesie. Ktoś krzyknął: „Czołgi idą!" Wszyscy ruszyli do pobliskiego traktu, lecz ostrzegawcza salwa CKM-u zatrzymała wszystkich w miejscu. Brukiem przez wioskę sunął pierwszy czołg sowiecki i od czasu do czasu terkotał z maszynek. Za nim szumiał drugi, trzeci dziesiąty... Ludzie rzucili się witać, „Czołem! Zdrastwujcie! — rozległy się okrzyki. Czapki w górę leciały. Ze łzami w oczach witano każdy czołg sowiecki. Żołnierze radzieccy czarni, osmoleni od dymu machali uśmiechnięci rękoma. Skądś zjawiły się chorągiewki biało-czerwone. Zaczęto je przypinać na płotach, drzewach przydrożnych i wkrótce cała droga przez wieś wyglądała, jak jakaś aleja miastowa podczas święta narodowego .A środkiem, niby na defiladzie grzmiały ciężkie pancerne smoki z groźną lufą naprzód wysuniętą — ku germańskim ciemiężcom. —

Na drugi dzień już wracałem do stron rodzinnych. Nie ma już granicy, ni „rzeszy" ni „gubernii", nie ma się kogo bać, a szerokim asfaltem od Warszawy ciągną, o rany! Polscy żołnierze! Rogatywki nasze kochane, z fantazją na bakier mają zsunięte. Na czołgach jadą. Krzyczę! „Czołem Chłopcy!". Nie słyszą mnie wszyscy wśród szumu maszyny, lecz machają wesoło dłońmi. Nie wierzę oczom, zdaje się, że śnię. Więc jest Polska! Więc to prawda, prawda! Spojrzenie moje pada na przydrożny rów. Niemiec tam leży, ale już nie krzyknie „rausch".

Jadąc dalej mijałem jeszcze kilka ich trupów — a koniec wam wraże syny! A czołgi z naszymi rogatymi żołnierzykami sunęły i szumiały, a huczały, huczały zwycięstwo głosząc i swobodę...

Za chwilę ujrzałem moje pole, moją wioskę i dom Jeszcze chwila i byłem na podwórku. Wszędzie wilki bałagan ale Niemca nie ma i jam wolny i na swojej rodzinnej ziemi.

Tak skończyła się moja wysiedleńcza tułaczka.

Ziarek Eugeniusz

się go zaczepić, to choć zdala wykrzykiwały często — „purchata", — że to gębę miał pełną i okrągłą jak księżyc. Nie rzadko rozlegał się koło ścian śmiech którejś z sióstr.

Hędrola! Hędrrola! — ojce nie żałowali mu za to szturchańców. On się bronił jak mógł, boć to jedynak i mógł ich nastraszyć, że weźmie i zginie, albo się utopi i niech mają.

Zdarzało się, że gdy mu coś bardzo w domu dojadło, naprawdę na parę dni i nocy uciekł. Matka, gdy się dowiedziała nie wiele z tego sobie robiła, ale gdy nie wracał dzień, nie wracał noc poczęła się niepokoić i dopytywać o jedynaka. Raz gotowa była już iść na plebanię do proboszcza, żeby ogłosił na ambonie o tak niezwykłej zgubie. A tymczasem mały Hędrola siedział sobie najspokojniej w kupie słomy i słuchał jak ojce marudają, nawołują go groźnym głosem i wymyślają. On siedział uparcie i głodował, żeby na swoim postawić. Bujna jego fantazja nie pozwalała mu usiedzieć na miejscu. Ciągle coś majstrował, opowiadał zmyślone historie, malował po ścianach rozmaite stwory i pokraki.

Raz, było to w niedzielę, przychodzą wszyscy z kościoła, a tu w domu na całej podłodze wymalowany kredą piękny kościół, ten, z którego dopiero co wrócili. Mógł mieć wtedy cztery, może pięć lat.

Zauważywszy wracających, skrył się pod ławę w ciemnej sieni, żeby nie oberwać od ojców, że „zabrudził" podłogę. A to się mu nieraz przytrafiało, gdy zarysowywał bielone ściany izby. Tym razem jednak kara go ominęła. Po pierwsze, może dlatego, że narysował kościół, a po drugie nie było trudności z usunięciem. Wystarczyło kawałek mokrej szmaty i po wszystkiemu. Mały malarz słysząc, że mu nic nie grozi wyszedł ze swej kryjówki uśmiechnięty szyderczo, że mu się tyle udało zro-‧ić na złość siostrom.

Przyszły lata szkolne. Dużo książek, a w nich masa przeróżnych przygód i ciekawych obrazów. Dusza chłopakowi rosła, myśl coraz tężała i poważniała. Począł co raz częściej marzyć, że będzie się uczył i uczył, a potem zacznie podróżować, żeby to wszystko co w książkach wyczytał poznać i zobaczyć. Wtedy dopiero się zaczęła prawdziwa udręka rodziców. Nie pomogło tłumaczenie nie pomogło bicie. „On myśli tej już wyzbyć się nie potrafił i nie chciał. Ojciec targał się za włosy ze zgryzoty, matka popłakiwała i skarżyła się do bliskich i krewnych.

— Patrzcie, jednego tylko mamy, tyle to lat przyszło się z nim namordować, nauganiać i teraz rwie się i rwie gdzieś w świat na zatracenie. —

Zostało wreszcie na tym, że Henryk pozostał w domu. Ukończył — swoje siedem oddziałów szkoły powszechnej i kisł w chałupie. Zdawało się, że może potrochu zapomni o wszystkim. Wstąpił do Koła Młodzieży i utonął prędko w jego pracach. Żywością swoją zjednał sobie wśród starszych kolegów i kależanek bardzo wielką przyjaźń. Jako sekretarz koła spisywał kronikę z pracy. Co to za wesołe obrazy były, całe żywe opowieści z wycieczek, uroczystości, obchodów i. t. p. A na każdej stronie kroniki wyrysowane najdziwaczniejsze cudaki, nieraz przedstawiające kogoś z kolegów czy koleżanek. W każdej pracy brał udział, do każdej stawał ochotnie porywając za sobą innych. Z własnej ziemi wydzielił później, kiedy już sam gospodarzył działkę na szkółkę drzewek owocowych dla koła młodzieży. Z własnego drzewa wespół z kolegami zrobił ogrodzenie.

Rogata jednak jego dusza nie dawała mu nigdy spokoju. Czepiał się czego tylko mógł, by się wyżyć. Zmajstrował sobie radio-odbiornik, przeciągnął „telefon" do najbliższych kolegów, przy pomocy jakiegoś starego drutu telefonicznego i słuchawek radiowych. Czytał masy powieści i marzył. Marzył o podróżach okrętami, samolotami, widział się w myślach wędrującym po bezkresnym świecie. Gęba mu wtedy promieniała jak słońce i oczy, te jego dobroduszne szare oczy, patrzyły tak dobrotliwie, jakby w nich samych tkwiło serce.

Wreszcie coraz częściej chwytał się rysunków, całe zeszyty zamazywał różnymi karykaturami, obrazami, scenami. Próbował też własnym przemysłem malować olejno na płótnie. Nie wychodziło to jakoś z początku, ale wszystko miało swój wyraz, swoistą myśl.

Rodzą się w jego wyobraźni co raz to nowe i nowe widziadła i obrazy, które chciałby utrwalić, czegoś mu jednak brakowało. Myśl o kształceniu się przypływała na nowo gwałtownie jak fala.

Tak się tragicznie złożyło, że rodzice Henryka wkrótce jedno po drugim zmarli. Pozostał sam z siostrami jako osiemnastoletni gospodarz na ojcowiźnie. Wyrósł już i zmężniał jak młody dębczak. Przerósł swych rówieśników wzrostem, przerósł ich też duszą i swoim gołębim sercem.

Teraz dopiero zrobił wielkie „głupstwo", którego nikt mu ze statecznych gospodarzy nie mógł darować. Przynająwszy robotnika do gospodarstwa zapisuje się do szkoły średniej. Dojeżdża codziennie do szkoły odległej dwanaście kilometrów doglądając jednocześnie gospodarstwa. Za nim na każdym kroku snuły się docinki starszych.

On jednak tego nie słyszał, na przymówki nie odpowiadał, zresztą nie dbał o powagę wśród gospodarzy. Uczył się uparcie, a w wolnych chwilach od nauki i zajęć gospodarskich malował. Chwile te były dla niego największą osłodą. Wtedy to właśnie bywał tak pogodny i promieniujący. Wydawało się, że wszystko jakoś przezwycięży, że wszystko złoży się jak najlepiej. Los jednak chciał inaczej.

Od ciągłej jazdy rowerem w porze zimowej przeziębił się straszliwie. Uczuł, że coś jest z nim źle, lecz nie chwalił się z tym do nikogo. Posmutniał tylko bardzo i zamknął się w sobie. Z wesołego, bawiącego wszystkich chłopaka stawał się coraz bardziej ponurym i stroniącym od ludzi.

Wiosną, kiedy wszystko rwało się do życia i radości i kiedy każde stworzenie z wiarą dążyło do tworzenia życia, Henryk odszedł spośród żyjących przygniatając ciężkim nieodżałowanym smutkiem swoich przyjaciół. Pozostała po nim świecąca jałowym piaskiem mogiłka, na którą co rok brzoza złote liście rzuci...

W dni zaduszne o zmroku przystają tam smutne postacie i ze ściśniętych serc rzucają modlitwę, czy może klątwę...

Józef Mozga

ZAPISY NA KORESPONDENCYJNY KURS GIMNAZJALNY

Kierownictwo Korespondencyjnych Kursów Gimnazjalnych, prowadzonych przez Wydział Oświaty i Kultury Z.M.W.R.P. „Wici", podaje do wiadomości szczegóły, związane z nowym rokiem szkolnym 1946/47.

Prowadzone będą równolegle wszystkie cztery klasy gimnazjum ogólnokształcącego. Nauka w każdej klasie trwa jeden rok, po czymkażdy z uczestników po dopełnieniu przewidzianych warunków może składać egzamin wstępny do klasy wyższej bądź małą maturę (po skończenu IV klasy).

WARUNKI PRZYJĘCIA

1. Dokładne wypełnienie i nadesłanie niżej podanej ankiety.
2. Załączenie odpisu świadectwa szkolnego, zatwierdzonego przez Zarząd Gminny lub kierownictwo miejscowej szkoły.
3. Wpłacenie za pierwsze trzy miesiące całkowitej opłaty za kurs, w wysokości 300 zł. Następne opłaty należy wpłacać w terminach mesięcznych po 100 złotych do dnia 10-go każdego m-ca. Nieuiszczenie opłaty w przewidzianym terminie spowoduje wstrzymanie wysyłki lekcji, bądź skreślenie z listy uczniów-korespondentów.

Regulamin Kursów zostanie wysłany każdemu z uczestników wraz z pierwszym kompletem lekcji.

Zapisy trwać będą od chwili ogłoszenia niniejszego komunikatu do dnia 1-go września 1946 r. Wysyłka lekcji rozpocznie się z dniem15 września.

Dotychczasowi uczestnicy kursów są obowiązani do ponownego zapisu i nadesłania ankiety z podaniem zeszłorocznego numeru ewidencyjnego. Ci, którzy z dotychczasowych uczestników nie składali egzaminu do klasy następnej przed Komisją Centralną w Łodzi lub w ośrodkach Terenowych w terminie czerwcowym, mogą zgłosić się do egzaminu w drugim terminie który odbędzie się w drugiej połowie września bież. roku.

Wszyscy ucznowie zeszłorocznej klasy pierwszej i trzeciej bez względu na to, czy przeszli przez egzamin do klasy II i IV, mogą być przyjęci do klas wyższych i zdawać egzamin z materiału przerobionego w dwuch klasach.

Ankietę wraz z życiorysem i innymi załącznikami należy nadesłać pod następującym adresem:
Korespondencyjne Kursy Gimnazjalne, Łódź, Al. Kościuszki 5, przekazywać przez PKO konto Nr VII 4010 Łódź.

Zarząd Wydziału Oświaty i Kultury Z.M.W.R.P. „WICI"

A. Inglot, sekrretarz — **St. Ignar**, przewodniczący

A. Mazanek — **B. Zwolski**

Kierownictwo Korespondencyj Kursów Gmnazjalnych

(Ankietę drukowaliśmy w n-rze 4 Wiciowej Drogi. Wydrukujemy ją jeszcze w numerze następnym).

Rozrywk umysłowe

ROZWIĄZNIA Z Nr 2 „WICIOWEJ DROGI" — przysłali: Kalinowski Zdzisław, Kikół, Gradek Piotr—Proslice, p. Kluczborek, Jan Wróbel, p. Tomaszów-Lubelski, Cywiński Cz. — Naropna, p. Rawa Maz.

Bilety wiytowe:

ROMAN KIZI

CECYLIA KUZAN

Poprzestawiać tak litery nazwisk, żeby stwierdzić jaki to zawód.

Humor

Jarmarcznik

Z Mystkowic jedzie na jarmark z prosiętami Ignac. W drodze widzi zdążającego pieszo w tym samym kierunku Jaśka Płoskę. Zdziwił się, gdyż Płoska znany był we wsi z wielkiej biedy i nie miał nic do sprzedania, ani też na pewno nie posiadał pieniędzy na zakupy. Zaczepia więc Jaśka pozdrowieniem:

— Jaksimocie, Jaśku!?
— Bóg zapłać, Bóg zapłać.
— A dokąd to walicie?
— Ano... na jarmak.
— Będziecie coś przedawać?
— E... nie.
— To pewnie sobie coś kupicie?
— E, tyz nie. Skądby tam. Piniędzy przecie, psio para, za gros nima.
— To poco idziecie?
— Ba, bo moze mi się jako furmancyna trafi.



Zdz. Kalinowski, Kikół — Pieniądze za prenumeratę prześlijcie zwykłym przekazem pieniężnym, który otrzymacie w dowolnych ilościach na każdej poczcie.

F. Krawczyk, Brzustówek — Wizytówkę zamieszczamy. Prosimy o dalszy materiał.

J. Pelc — Artykuł Wasz „Znak Chłopskiej Jedności" zamieścimy w nastepnym numerze.

Władek K., Zalesie — List o poświęceniu sztandaru w Waszym kole zamieścimy w następnym numerze. Piszcie do nas.

M. Głowacka — Zamieścimy w numere następnym, Przyślijcie więcej materiału.

„Niektórzy Koledzy z Lubelszczyzny" — Wiciową Drogę cierpliwie wysyłamy i cieszymy się, że tak wszechstronnie spełnia ona swoje zadanie. Piszcie do nas. Tematami nie krępujemy.

KOŁO MYSTKOWICE!

Mystkowice, (p. Łowicki) podobnie jak niedawno Bychlew, zaprenumerowały „Wici" i „Wiciową Drogę" w myśl uchwały podjętej przez Walny Zjazd Woj. Zw. Mł. Wiejskiej „Wici" w Łodzi.

O Waszej żywej pracy sporo słyszeliśmy. Życzymy powodzenia. Cześć!

WICIARZ AKADEMIK

Głos w dyskusji

Dla kogo są Wici

Artykuł p. t. „Chłopskie Wici czy Wici dla wszystkich“, zamieszczony w drugim numerze „Wiciowej Drogi“, wywołał ożywioną dyskusję wśród wiciarzy-akademików. Autor stawia jednak pewne kwestie zbyt powierzchownie i jednostronnie, nie biorąc, naszym zdaniem, wielu zasadniczych rzeczy pod uwagę. Dlatego też przedstawiamy nasz pogląd na tę sprawę i będziemy się starać pominięte przez kol. Stasiaka strony uwypuklić, aby w ten sposób nadać sprawie właściwe oblicze.

PEWIEN PROCES, KTÓRY PRZEŻYWAMY

Gdy rzucimy okiem na przeszłość historyczną nie tylko Polski ale i całego świata, wszystkich narodów i będziemy się przypatrywać procesom przemian społecznych, to łatwo zauważymy, że każdy okres, każda epoka historyczna, posiada pod tym względem cechy ciągle powtarzalne. Chodzi tu o odwieczną walkę różnych grup społecznych danego narodu. Po rządach arystokracji ateńskiej, przyszły rządy demokracji, terror konsulów czy cesarzy rzymskich był często przerywany wprost przeciwną reakcją np. Grakchów itd., aż do przełomowego momentu Rewolucji Francuskiej, kiedy to uciemiężony lud francuski, a za nim inne ludy Europy podniosły sztandar buntu przeciw dotychczasowemu porządkowi ucisku, gwałtu i przemocy. Nie inaczej wyglądała ta sprawa i u nas. Z wolnego piastowskiego kmiecia zamienia się chłop z biegiem wieków w niewolnika i trwa w tym niewolnictwie aż do czasów niemal najnowszych, pomimo kilkakrotnych, beznadziejnych wybuchów sprzeciwu. I jedno, co powinno uderzyć w tym ciągu wydarzeń, to fakt, że jeśli w wyniku buntu, walki, rewolucji zdobywała jakaś klasa prawa czy choćby tylko ulgi, to chłop najmniej, albo nic nie zyskiwał. Wydaje się nam, iż każda grupa społeczna przeżywa w swym historycznym rozwoju pewien moment, który pozwoli jej wyłamać się z dotychczasowego stanu zależności od innych grup, a osiągnie to tylko wtedy, gdy wyda z siebie zespół ludzi mogących ją poprowadzić w nowej roli, jeśli ona sama dojrzeje do odegrania tejże.

Weźmy np. u nas klasę mieszczańską w XVIII wieku. Zdobyła równouprawnienie tylko dzięki temu, że nie tylko dorównała, ale pod wieloma względami i przerosła warstwę szlachecką. A dlaczego wiek XIX nie przyniósł światu robotniczemu tego, co mógł przynieść, to znaczy pełnego równouprawnienia społecznego? Dał mu coprawda prawo polityczne, zrzeszył świat robotniczy w związki broniące interesów klasy, ograniczył wykorzystywanie sił robotnika, ale pełnego równouprawnienia mu nie dał. Dlaczego? Gdyż robotnik nie był do tego przygotowany.

Obecnie przeżywamy okres, gdy klasa chłopska osiąga ten właśnie punkt kulminacyjny w swym rozwoju. Stoimy w momencie o nieobliczalnych dla nas skutkach i możliwościach. Po erach szlacheckiej, mieszczańskiej, robotniczej nadchodzi era chłopska. Jeśli nie popełnimy błędów, jakie popełnili tamci — to grę tę wygramy. A za największy błąd np. klasy robotniczej uważamy właśnie klasowość, której musimy uniknąć w naszym działaniu, w naszej ideologii. Dlatego też chcąc wygrać tę historyczną okazję musimy Ruchowi naszemu nadać oblicze ogólnonarodowe, co jest dla nas tym łatwiejsze, iż stanowimy większość narodu, iż dalszą część narodu, która wyszła z masy chłopskiej, chce do niej wrócić, nie, jak sądzi kol. Stasiak, dla celów rozbijacko-wywrotowych, lecz zupełnie czyn innymi się kieruje, ale o tym w dalszej części.

Że wspomniany proces ma faktycznie miejsce i to nie tylko w Polsce, ale w całej Europie, świadczą dobitnie wyniki wyborów w wielu państwach europejskich, gdzie najsilniejsze partie polityczne stanowią ugrupowania, mające obok przymiotnika chrześcijański, katolicki, postępowy, umiarkowany, radykalny, zawsze drugi przymiotnik — ludowy.

PRZEŻYLIŚMY SZEŚĆ LAT WOJNY

Twierdzi kol. Stasiak, że do „Wici“ idą dziś wszyscy, którzy przed wojną z nimi walczyli, aby się tutaj konspirować. Temu nie przeczymy, że mogły się przedostać do nas różne niepotrzebne jednostki, ale proszę nam wskazać taką organizację, która grupowałaby element ideologicznie naprawdę czysty.

Jedni poszli tu czy tam dla kariery, inni dla roboty wywrotowej, inni, aby się zakonspirować i ukryć swe właściwe oblicze, a jeszcze inni przez pomyłkę. Tak, przez pomyłkę. I tych stawiamy najniżej, bo zamiast spostrzec swój błąd i znaleźć inną drogę, lub przejąć się odpowiednią dla siebie ideologią i zrozumieć ją, usiłują wszczepić nowe hasła, które mogą spowodować ferment, choć większość tego sobie wcale nie życzy.

Ale chcemy wrócić do rzeczy. Przeżyliśmy okres 6 lat potwornej okupacji, wiemy wszyscy cośmy stracili, ale musimy też wiedzieć, ile i co zyskaliśmy. Czyż był kiedyś Naród Polski tak zjednoczony jak w czasie okupacji? Żarła się może góra, śpiewały może różne gogusie, „że u chłopa w chliwie dywon leży“, byli tacy co im płacili za to, ale naród w swej olbrzymiej większości trwał właśnie jak nigdy zjed-

noczony. Doszło do porozumienia cichego, nie krzyczanego, między miastem i wsią, ale z korzyścią dla wsi, gdyż ona zawsze sobą pozostała, a ci co przyszli do niej wygnani przez okupanta lub szukając tu schronienia przed więzieniem, nieraz ze wstydem przyznawali jak inaczej wyobrażali sobie wieś i jak ją krzywdzili. I więź ta, zapoczątkowana w ciężkich dla narodu chwilach istnieje , choć pozory wskazują dzisiaj co innego. Zrozumieli nawet najzagorzalsi zwolennicy „bicia chłopa batem", że ten bat im samym się należy... Więc, kolego Stasiak, nie można sądzić o tej garstce elementów reakcyjno - oenerowskich — jak ich nazywacie — jako o całej rzeszy społeczeństwa inteligenckiego czy miejskiego. W społeczeństwie tym bowiem dokonała się olbrzymia przemiana duchowa w stosunku do spraw chłopskich. Nie dziwi nas wcale, że dziś garnie się do nas młodzież, że szeregi Ruchu Ludowego powiększają się o element miejski, gdyż ten element tylko powierzchownie nie ma ze wsią nic wspólnego, a na dnie duszy tych ludzi tli się iskierka chłopskiego pochodzenia, a naszym obowiązkiem jest tę iskierkę umiejętnie rozpalić.

Racja! Nie wolno nam przyjmować wszystkich do naszych szeregów, ale dzisiaj, gdy stajemy w obliczu najważniejszej chwili w dziejach chłopa, nie wolno nam utracić ani jednej duszy, związanej z nami węzłem pochodzenia i rozbudzonym poczuciem jedności chłopskiej i narodowej. Nie „wychłopią nas mieszczuchy".

Minął okres „cajgowych portek" i odgraniczania się młodzieży wiejskiej w mieście od swych kolegów. Stanowimy bowiem element, czy to w liceach czy na uczelniach wyższych, którego nie potrzeba uczyć form towarzystkich i współżycia, gdyż chwała Bogu! moglibyśmy pod tym względem i wielu kolegów z miasta nauczyć. Z tej strony „wynaturzenie" nam na pewno nie grozi. Nie wolno nam zostawić żadnej jednostki na terenie miasta, której ojciec czy dziadek chodził za pługiem. Przed wojną, być może, przypomnieć komuś o chłopskim pochodzeniu równało się obrazie, dziś każdy z dumą o tym mówi; to wynik sześcioletniego procesu zbliżania się miasta do wsi. A teraz rzecz druga. Jesteśmy młodzi i potrzebujemy się w jakiś sposób wyżyć, a cóż daje możliwość większego wyżycia się, jeśli nie praca organizacyjna? Czyż mamy czekać, aż nam ktoś z przed nosa tę młodzież porwie? Dlaczego inna organizacja, zakładająca swe placówki na wsi, choć z nią nie ma nic wspólnego, nie obawia się o „wynaturzenie się części swych członków, ale wprost przeciwnie, usiłuje młodzież wiejską gromadzić pod swymi sztandarami? My nie możemy stanowić w mieście jakiejś niedostępnej grupy, żyjącej swym wyłącznym życiem, nie dopuszczając nikogo i niczego z zewnątrz. W myśl artykułu kol. Stasiaka wypadało by nam w mieście ubrać się w stroje łowickie czy krakowskie i uczynić z siebie atrakcyjny obiekt do oglądania.

Nie widzimy też nic złego w tym, że ów dyrektor gimnazjum nawołuje dziś do organizowania „Wici", czy ów ksiądz, gromiący przed wojną „Wici", a dziś nawołujący do wstępowania doń. Być może, że grają oni fałszywą rolę, ale jesteśmy przekonani, że w 90 proc. działają szczerze, bez żadnych ubocznych pobudek, gdyż, jak już zaznaczyliśmy, przeszli oni proces zmiany pojęć do wsi — a po drugie, winno to być naszą dumą, iż nasi wczorajsi przeciwnicy podają nam dziś rękę — szczerze czy nieszczerze, ale nas uznają. Wypada nam zakończyć nie mniej oryginalnie od kol. Stasiaka, który grozi, że jeżeli „Wici" nie zejdą z dzisiejszych ścieżek, to wiciarze „radykalni" zmuszeni będą szukać przytułku w OMTUR-ach czy ZWM-ach. Możemy dziś zapewnić Kolegę, że niewielu takich się znajdzie, którzy radykalizm rozumieją tak, jak Kolega.

Nam wystarczą takie Wici, jakie są obecnie. Możemy podyskutować i to nawet gorąco, możemy się pod tym czy owym względem różnić, lecz na jedno się nigdy nie zgodzimy — na spychanie nas na ścieżki oenerowskie i to przez własnych kolegów-wiciarzy.

P. S. Fakt, który, jak się okazuje, miejsca nie miał.

Pewne Akademickie Koło Wici, liczące 200 członków, nie mogło zbojkotować zbiórki na oświatę chłopską, gdyż zbiórka takowa w danym mieście nie odbyła się, tak samo, jak w Łodzi. Miała jedynie miejsce zbiórka poza obrębem danego miasta i w tej to zbiórce akademicy udział wzięli. Tym samym obawa o „wychowanie na własnej piersi węża" jest nieistotna. Radziłbym bliżej zapoznać się z kolegą, który tę obawę wyraził.

Kołaczyński R. i Pelc J.

Wici w szkołach średnich

Z wycieczki na Śląsk

Droga do Wrocławia.

Odjazd!!! Nareszcie... Z 56 ust wycieczkowiczów wyrywa się okrzyk radości. Teraz jedziemy już naprawdę. Prosto do Wrocławia. Każdy marzy skrycie, aby opony nam już nie „nawalały" i aby ten miły pęd powietrza trwał bez końca. Oddychać można pełną piersią. Jakżeż odmienne od naszego łódzkiego, przesyconego dymem kominów fabrycznych! Powietrze ma coraz to inny zapach. Można zamknąć oczy i mówić: O, teraz mijamy pole łubinowe! A teraz — łąkę, gdzie jest dużo miodnika!

Mijamy pola dojrzewających zbóż i kwitnących kartofli. Przed nami przestrzeń i dużo, dużo swobody dla oka: Niebo bez jednej chmurki. I znowuż nasuwa się porównanie: Nie tak jak u nas w Łodzi, gdzie widzi się tylko kwadraty, albo wstęgi „nieba" zadymionego, a niżej wzrok napotyka ciągle przeszkody w postaci domów i wysokich płotów.

Przed nami droga na Wrocław...Pęd powietrza upaja... Chciałoby się, by tak trwało wiecznie... Wtem trrach!!! — opona „nawaliła" u samego pro-

gu Wrocławia! Czy ten nasz samochód nie zapożyczył sobie czasem przyzwyczajeń żółwia? Na szczęście jest łąka i można czas oczekiwania skrócić sobie grą w piłkę. Początkowa sztywność uczestników wycieczki znika. „Rozkrochmalamy" się coraz bardziej. Sypią się nawet żarty i piosenki.

Wrocław

Jest już dosyć późno, gdy dobijamy do Wrocławia nad piękną Odrą. Z radością witamy zielony sztandar na jednym z domów. Gospodarze są bardzo mili i robią co mogą ,aby „sporą" tę gromadkę rozlokować na noc. Nie wiem dlaczego nas — niewiasty spotkał wysoki zaszczyt zajmowania jak najwyższych apartamentów (4-te piętro). Łóżka czekają na nasze roztrzęsione kości.

Mamy kilka godzin wolnych przed sobą. Jest już ciemno i podobno niebezpiecznie jest pokazywać się o tej porze na ulicach tego miasta. Przecież jednak zawsze znajdzie się kilku śmiałków, którzy „gwiżdżą" na „niebezpieczeństwa". Idziemy oglądać Wrocław. Całe szczęście, że mieliśmy przewodnika, gdyż tylko dzięki niemu mogliśmy się dowiedzieć, że tu był kiedyś kościół, a tamten szkielet to piękna niegdyś opera. Idziemy cały czas wśród gruzów i szkieletów wypalonych domów. A oto jesteśmy już przy ratuszu. I ten staruszek też zniszczony całkowicie.

Ale na nas już czas. Gorąca kawa czeka. Jutro oficjalne zwiedzanie Wrocławia....

Fabryka parowozów

Do ciekawszych zwiedzanych obiektów należy fabryka parowozów. Narazie produkuje tylko wagony (przeważnie towarowe). Szkoda, że mamy tak mało czasu, bo szalona galopada za przewodnikiem w otoczeniu szczęśliwców, którzy coś mogli skorzystać z objaśnień, nie wiele mogła dać reszcie gromady. Zobaczyliśmy trochę maszyn, ludzi wykonujących różne części wagonów, notabene patrzących drwiąco na nas „zwiedzających" warsztaty ich pracy. Ale, gdzie to zagalopowaliśmy? Czy ja dobrze słyszę? Jest to maszyna do otrzymywania tlenu! To jednak ta chemia to nie blaga! Już teraz na własne oczy mogę zobaczyć otrzymywanie tlenu, który jest potrzebny do spawania różnych części metalowych. W drodze do auta podziwiamy jak wielkie zadanie wykonali robotnicy przy odbudowie tej fabryki, którą przyjęli w swoje ręce w ruinie.

Droga na Wałbrzych

Ostatni maruderzy schodzą się z „szaber-rynku" i — ruszamy. Naszym celem na dziś — Wałbrzych. Jak dobrze pójdzie, za kilka godzin otworzą się przed nami gościnne podwoje wałbrzyskiego „Wici". Jak dobrze pójdzie... Nie znamy przecież wybryków naszej arki. A ci, co odbywali na niej jakieś podróże, uśmiechają się tylko pobłażliwie na nasz optymizm.

Uwaga! Widać góry! Reakcje różne, zależnie od tego, czy ktoś widział je już kiedyś i teraz z rozrzewnieniem przypatruje się tym jeszcze sinym wyniosłościom. A ci, co widzą je pierwszy raz, przyglądają się z niemniejszym zachwytem, konfrontując je zarazem ze swoimi wyobrażeniami o górach — tymi z marzeń.

Humory są wspaniałe! Piosenki rozbrzmiewają coraz śmielej i głośniej. Z chwilą, gdy przejeżdżamy przez jakąś wieś, szczere polskie „gęby" rozszerzają się w uśmiechu na dźwięk naszej polskiej melodii, którą na końcu świata się rozpozna.

Dzisiaj nas też nie ominęła gra w piłkę. Trudno muszę się powtarzać, ale powiem w sekrecie, że znów... „nawaliła" i naturalnie jak zwykle, na przyczepce. Mamy wielkie podejrzenie co do struktury cielesnej kolegów z przyczepki (naturalnie nie bierzemy pod uwagę ani rozgrzanych asfaltów). Podług informacji przygodnych informatorów (tablic na skrzyżowaniach nie można znaleźć) mamy niedaleko, a zatem ci z przyczepki przeprowadzają się do nas i jedziemy. To dziwne, ale im dłużej jedziemy do Wałbrzycha, tym dalej jest do niego. Wreszcie, gdy okazało się, że odległość wzrosła niemal dwukrotnie, wracamy do przyczepki i — czekamy na zakończenie reperacji. Jest rzeczka, jest łąka, jest mycie i — gra w piłkę. Jak widać urozmaiceń nam nie brak. Nie obyło się bez „Janka muzykanta" (na „wyszabrowanych" skrzypkach) i bez pląsów na gładkim asfalcie szosy. Trochę przejeżdżające samochody przeszkadzały, ale trudno — trzeba się z losem pogodzić.

Przy świetle księżyca śpiewaniu nie ma końca. Nikomu się nie przykrzy. Przecież jesteśmy młodzi! Kiedyż mamy się wyśpiewać, wykrzyczeć? Trzeba tedy czas wykorzystać! Słuchają nas tylko pola, drzewa, góry i ten wiatr, co porywa nasze piosenki....

Solice-Zdrój

O I-ej godz w nocy otworzył nam swoje podwoje dom SL-u — w Solichch-Zdroju. Spało się cudownie w wygodnych łożach nawet — z pościelą. Następnego ranka t. zn. w środę po wspaniałym śniadaniu u Wiciarzy „coloco-zdrojowych" zwiedziliśmy sanatorium. Podziwiałam cierpliwość niektórych kuracjuszy, którzy znosili z anielską cierpliwością naszą ciekawość, która objawiała się nawet zaglądaniem w nosy przy zabiegach inhalacyjnych. Zakład pięknie urządzony, gościnnie zapraszający kuracjuszy do leczenia się.

Zamek

Wycieczka do zamku Kinau zostawiła jak najmilsze wspomnienia. Zasadniczo, gdy jedzie się zwiedzać ruiny zamku, jest się zawsze przygotowanym na to, że zobaczy się poszarpane mury, obrosłe starym zielskiem, jakieś baszty zrujnowane i wieżyczki. Tu mieliśmy jednak niespodziankę: mogliśmy wejść do środka i oglądać na własne oczy życie, które tu miało miejsce, które jeszcze tętni głuchym echem w słowach oprowadzającego. Chłopców naturalnie pociągają stare zbroje rycerskie i broń. Jeden z nich nie oparł się pokusie nawet włożenia jednej zbroi na siebie. Miał szczęście, że to było muzeum jeszcze nie zorganizowane, nie objęte ustawami, chroniącymi zabytki kultury dawnych wieków.

Mrożącą w żyłach krew jest opowieść o dziewczynie, która zabiła dworzanina i za karę została przykuta do skały obok sali sądowej. Nieszczęśliwa do zgonu musiała patrzeć na głowę swej ofiary, przybitej naprzeciw niej. Szkielet jej i czaszka sprawiają na patrzących upiorne wrażenie.

Pogodny nastrój wróciło dopiero zwiedzanie

innych części zamku. Obejrzeliśmy jeszcze obrazy i portrety dawnych mieszkańców zamku i piękny arras. Przyszła kolej i na zwiedzanie wieży zamkowej. Ale dla nas trzech propozycja zwiedzenia wieży okazała się nieaktualną, ponieważ wieżę „zdobyłyśmy" pierwsze drogą nieznaną nawet naszemu przygodnemu przewodnikowi. Zwłaszcza młodym zuchom zieleniały noski z zazdrości, że dali się ubiec. Widoki z wieży były prześliczne.

Kopalnia

Mnie, właśnie mnie, spotkało to szczęście, że zostałam wybrana na zejście do kopalni. Z niewiast wybrano tylko trzy. Jednak przydała mi się na coś atletyczna budowa. Sztygar wybierający nas zgodził się odrazu. Pierwszy raz w życiu miałam zobaczyć na własne oczy kopalnię, górników przy pracy i pracę przy wydobywaniu czarnych diamentów. Nieoczekiwanie sprawdziło się moje najskrytsze marzenie — zobaczyć kopalnię, świat z książek mojego ulubionego autora — Morcinka. Teraz tylko sprawdzę czy właściwie odtwarzałam sobie plastyczne obrazy z tylu, tylu książek piewcy czarnego Śląska. Jesteśmy już, my wybrańcy losu (14 osób), przebrani w specjalne stroje, nie wyłączając twardych hełmów, chyba na wypadek, gdyby się chciał nam jaki strop zawalić na głowy. Jesteśmy podzieleni na dwie grupy. Kobiety wszystkie idą razem z bardzo miłym sztygarem, który obiecuje nam pokazać „rośliny kopalniane", a których nie pokazał nam, bo za mało było czasu i koledzy mężczyźni mieli już dość spacerów po kopalni.

Jeszcze na powierzchni nastraszono nas porządnie, co za dziwy będą się działy w kopalni: że trzeba się będzie czołgać na brzuchach, że duch będzie straszył, że przy zjeżdżaniu w dół ogłuchniemy i że w ogóle czeka nas płacz i zgrzytanie zębów i niestety żadna z tych przyjemności nie sprawdziła się. Winda zjeżdżała tak jakby przewoziła porcelanę, a nie „górników" żądnych „okropnych" przeżyć. Od szybu wagoniki zawiozły nas aż do miejsca, gdzie drewniane rynny zsypywały węgiel na wagoniki. Węgiel ten nadaje się prawie tylko na przeróbkę chemiczną, ponieważ jest tak miękki, że w ręku się kruszy. Chodniki, którymi jechaliśmy, były miejscami nie oświetlone, tak, że po ścianach pełzały tylko słabe światełka naszych lamp górniczych. Miejscami woda kapała ze stropu, a gdzie indziej po ścianach sączyły się strumyczki wody z pluskiem tajemniczym. Dojechaliśmy wreszcie do chodnika, gdzie stropy były popodpierane sosnowymi klocami, o których tak ślicznie powiedział Morcinek, że płakały kroplami żywicy i zakładane świeże dawały odżywczy zapach lasów — stamtąd — z góry. Nie znalazłam tylko „Łyska" żadnego, ani też myszki, z którą górnicy zawsze bardzo łaskawie się obchodzą, dając jej okruszyny chleba. „Łyski" zostały zastąpione maszynami, a myszy w tej kopalni w ogóle nie ma, ponieważ jest za zimna, jak objaśnił nasz sztygar. Doszliśmy wreszcie do prawdziwych górników kopiących węgiel. Trzeba dużo samozaparcia się, żeby wytrwać w podziemiach wiele lat, gdy płucom brak tchu i czuje się, że pył węglowy wżera się w cały organizm.

Czekała nas jeszcze jedna atrakcja: wysadzanie dynamitem nowego chodnika, przekopu do węgla. W bezpiecznym korytarzu odczuliśmy tylko silny podmuch, głuchy huk i—już. Z powrotem szliśmy cały czas pieszo, aż do szybu wyjściowego.

Tam spotkaliśmy się przy świetle elektrycznym z naszymi kolegami z drugiej grupy. Spotkanie było hałaśliwe, z wybuchami wesołości na widok zmienionych fizjognomii. Jedni śmieli się z drugich. Zmieniliśmy się do tego stopnia, że jeden z kolegów wziął naszego sztygara za mnie i z radosnym okrzykim wyciągnął ku jego twarzy czarne ręce chcąc go pogłaskać Całe szczęście, że poznał swą omyłkę w porę.

Na górze czekała nas łaźnia gorąca i przywdzianie własnych „skór". Już jako cywile wróciliśmy, syci wrażeń, dumni zwycięzcy niezbadanych terenów, do reszty towarzystwa.

Karpacz

Dzisiaj jest czwartek. Pogoda dopisuje nam cały czas. Z Solic wyjeżdżamy żegnani wielką chmurą. Za to w Karpaczu niebo jest znów bez chmurki. Jesteśmy w samym sercu Karkonoszy, u stóp wyniosłej Śnieżki. Chciałoby się zaraz wejść, aż na sam szczyt, aby objąć wzrokiem całą okolicę i naszą i czeską. Nie od naszej woli jednak to zależy, a zatem patrzymy tylko tęsknym wzrokiem na tej, której nie sądzone nam jest przemierzyć tym razem własnymi krokami. Jutro ma być odjazd do domu.

12-ta godz. w nocy. Czy to duchy? Nie, to bohaterki z eskapady na wieżę, wybierają się do strumyka kąpać się. Księżyc świeci, świerki szumią, potok mknie z hałasem po głazach, a tu boska kąpiel w lodowatym potoczku. Uf... nigdy nie zapomnę tej drucianej szczotki, która zdzierała mi plecy kierowana ręką „uczynnej" koleżanki. Jednak zdaje mi się, że dałabym się nawet oskalpować, aby za tę cenę móc przeżywać rozkosz sycenia się pięknem, które otaczało nas ze wszystkich stron.

Jelenia Góra

Najchętniej nie pisałabym nic o niej. Zdaje mi się, że jest przereklamowana. Byłabym jednak wielką niewdzięcznicą, gdybym przemilczała o naszej kochanej jeleniance Oldze. Zajęła się nami tak troskliwie jak nikt i wraz ze swymi koleżankami starała się, aby nam ptasiego mleka nie zabrakło, a ściślej mówiąc — gorącej zupy po wycieczce na Śnieżce, bo wyjechaliśmy dopiero w niedzielę.

Śnieżka

Dwudziestu kilku „wściekłych" (jakby Wiech powiedział) „turystów", uzbrojonych w podkute laski ruszyło na ścieżkę. Tak głosi kronika wycieczki pod datą sobotniego dnia. To nic, że nie ma słońca, a deszcz jest murowany, to nic, że pojedziemy pociągiem do Karpacza. Już wszystkie formalności poza nami. Z przepustką w kieszeni ruszamy. Ludzie darzą nas wyraźną sympatią, bo i teraz zjawia się dobra wróżka w postaci „tubylca" i wskazuje nam, mało tego, idzie z nami 2 razy krótszą drogą. Przy głównej drodze zostajemy sami i wyrywamy jak kozice niepomni na przepisy obowiązujące wytrawnych turystów. Serce wali jak młot, w skroniach krew pulsuje, jakby chciała je rozsadzić, pot zalewa oczy, przecież to wszy-

stko fraszka. Najważniejsze abyśmy jak najszybciej osiągnęli szczyt. Chmury „chodzą" po górach, w dole nic nie widać, zrywa się silny wiatr i chłodzi nasze mokre plecy.

Jesteśmy u szczytu Śnieżki w Domu Śląskim straży granicznej. Jest bardzo zimno, my jesteśmy w letnich sukienkach, a koledzy tylko w koszulkach. Wyskakujemy jak stado dzików na wichurę zacinającą deszczem. Hola!... Nie tak gwałtownie, bo gotowiśmy połknąć własne serca. Schody kamienne prowadzą nas coraz wyżej i wyżej. Wkoło nic nie widać i ulewa wzmaga się, ale my musimy wejść na sam szczyt. No, nareszcie!.. Serce po próbach urywania się wraca do normy, a my po daremnych próbach kołatania do zamkniętych drzwi polskiej „Herbaciarni" — jak głosi szyld — idziemy jak sieroty do Czechów. Jest ciepło, miło, zacisznie, muzyka gra. Czesi pociesznie tańczą podrygując w jej takt, a my biedne sierotki bez własnego domu, stoimy w drzwiach zbici w gromadkę i oddajemy się błogiej rozkoszy przyglądania się temu wszystkiemu. Ceny w przetłumaczeniu na polski pieniądz — horendalne.

Deszcz przechodzi w grad. My nie czekamy dłużej i pędzimy pod opiekuńcze skrzydła naszej, polskiej straży granicznej. W błyskawicznym tempie osiągamy swój cel. Z radością konstatujemy, że jedna z koleżanek mniej awanturniczo nastrojona, zrobiła nam niespodziankę — gorącą kawę — nektar boski. Z moją sukienką dzieje się coś niesamowitego (koledzy mówią: „nasza koleżanka się skróciła"). Boję się, że niedługo będę tylko w śliniaczku.

Nie ma sensu siedzieć dłużej, deszcz nie przestaje dzisiaj padać, a my jutro rano wyjeżdżamy. Z niegościnnej Śnieżki zlatujemy w różowych humorach z potokami rwącymi na plecach. Echo niesie nasze piosenki chyba aż do naszych towarzyszy, do Jeleniej Góry. W Karpaczu zachodzi znów konieczność wydłużania „skróconej koleżanki". Jest już pociąg, wsiadamy do drugiej klasy z biletami na trzecią, mamy jednak specjalne względy chyba z racji bohaterskiego dzisiejszego wyczynu, bo konduktor nic nam nie mówi. Nie zazdroszczę tym pasażerom, co będą siedzieć na naszych miejscach.

W Jeleniej Górze pędzimy, ku uciesze przechodniów, jak wystraszone jelenie. O kilkadziesiąt kroków od domu ustawiamy się karnie w trójki i z wrzaskiem ochrypłych głosów wchodzimy w progi „Wici". Na minach naszych kolegów widać rozczarowanie. Oni myśleli, że Śnieżka pójdzie nam w „pięty", że naszym krokom będą towarzyszyły przeraźliwe jęki i złorzeczenia na pogodę i na Śnieżkę. Rozczarowanie było bardzo miłe.

A w drodze powrotnej do domu jeszcze jedna niespodzianka: ani razu nie „nawaliła"....

Janka Łopianówna

LISTY ZE WSI

Braterstwo Wiciowe

Wszystka młodzież chłopskiego pochodzenia powinna wstąpić w szeregi „Wici" i w nich zjednoczyć się i zbratać.

Nie ma i nie może być innej organizacji dla młodzieży wiejskiej.

Nasza praca samokształceniowa i samowychowawcza nie ma nic wspólnego z partiami politycznymi. Kiedy będziemy starsi, dobrze wychowani i wykształceni i z doświadczeniem w pracy organizacyjnej, wtedy zaczniemy zabierać głos na polu politycznym.

Dziś dążenie do wyrobienia stalowej woli, do zdobycia jak największej ilości wiadomości ogólnych i fachowych, do podniesienia materialnego i kulturalnego wsi jako całości winno być naszym celem.

W każdym kole zapisanie się na członka równa się przystąpieniu do wspólnej pracy i wspólnego wysiłku nad duchową przebudową wsi ze szczerymi chęciami i z doświadczeniem, że należy pracować nietylko w chwilach pomyślności lecz i wtedy, gdy wszystko rwie się, gdy nie widać pożądanych, konkretnych wyników.

Wysiłkiem woli i chłopskiej wytrwałości pokonamy niejedno niepowodzenie w pracach naszego Koła. Nie zrażać się trudnościami, być karnym członkiem spełniającym skrupulatnie zarządzenia władz swoich, pamiętać o regularnym wpłacaniu składek miesięcznych, starać się koniecznie coś pożytecznego zrobić dla swej organizacji, to zadania naszego codziennego życia w „Wiciach". Wypełnienie tych czynności doprowadzi nas do wyrobienia w sobie punktualności, poczucia obowiązku, współpracy i współżycia w zespole — cech brakujących wielu Polakom

W Kole „Wiciowym" nikt nie może zabiegać o to, żeby zostać prezesem, sekretarzem lub skarbnikiem. Zarząd jest w tym celu, żeby reprezentował organizację nazewnątrz, utrzymywał łączność ze swymi władzami zwierzchnimi, kierował pracą.

Współpracują wszyscy zależnie od swych zdolności i wolnego czasu na równych prawach.

Nie należy uzależniać wkładu swej energii od piastowanego stanowiska, ani się nim chlubić.

Każda Wiciarka lub Wiciarz winni pracować jak siostry i bracia w zgodzie, wzajemnej pomocy i wyścigu. Wzajemna pomoc i współpraca niech przenosi się na teren ich życia codziennego we wsi.

W pracy organizacyjnej nie należy szukać tylko przyjemności i rozrywki, lecz poczuwać się do wysiłków dla gromady.

Braterstwo i koleżeńska uczynność niech zjednoczą całą młodzież chłopską. Wyrzeknijmy się osobistych uraz i fałszywych ambicji. Podajmy sobie dłonie.

Koledzy spostrzegający w swym Kole dwóch gniewających się niech nakłonią ich do zgody, wspólnej pracy i wspólnej zabawy.

Jeśli Wiciarka lub Wiciarz spotkają kolegę ze swej organizacji znajomego lub nieznajomego czy to

na wsi czy w mieście to niech zwracają się do niego bez żadnych skrupułów.

Postawmy sobie za punkt honoru nie wstydzić się jeden drugiego w towarzystwie, chociaż nieraz różni nas poziom otrzymanego wychowania i wykształcenia. Udzielajmy sobie wzajemnie pomocy i dobrych rad jakbyśmy się znali i przyjaźnili od wielu już lat. Zrezygnujmy z osobistych wygód i upodobań. Poświęćmy chwile drogiego czasu dla braci-Wiciarzy nawet w momentach zaabsorbowania własnymi sprawami.

Wśród Wiciarzy nie może zyć ludzi, którzy wstydzą się w mieście swego chłopskiego pochodzenia.

Braterstwo niech spaja nasze dusze chłopskie w młodzieżowym Ruchu Ludowym.

Bogusławski Wład

Dzień imienin - świętem w Kole

Różne są drogi i sposoby działania jakimi my młodzież wiciowa (ze wsi Bielice, pow. łęczyckiego) dążymy.

Przyrzekliśmy sobie wszyscy w naszej gromadzie (18 członków), że będziemy wzajemnie wychowywać się, dokształcać, wyrabiać, by zostać światłymi i dobrymi ludźmi. Żeby osiągnąć powyższy cel, wykorzystujemy do tego każdą okazję. Np. „dzień imienin" któregoś z koleżeństwa święcimy wspólnie. Urządzamy wtedy wesołą świetlicę złożoną z wesołych z okolicznościowych piosenek, gier towarzyskich i tańców. Bywa także, że posilimy się dobrymi ciastkami i popijemy herbaty (a nie bimbru, jak bywało dawniej). Wieczory spędzone z Solenizantami dają nie tylko dużo zadowolenia i radości, ale wyrabiamy także w sobie przedsiębiorczość, wysilamy się na różne pomysły, zaczynamy więcej poznawać siebie. (Kto do czego zdolny? ułożyć wiersz, czy wystrugać ramkę z drzewa).

Przez pamięć o kimś stajemy się pomału społecznikami. Jakaś niewidzialna nić zaczyna wiązać nas. Ponieważ zależy nam, by każda chwila przeżyta była radosna, staramy się przeto wszelkimi środkami przyczynić się do tego.

Nie zadawalają nas złożone życzenia wzajemne w kole, ale wychodzimy już poza nie. Idziemy z życzeniami imieninowymi do sołtysa naszej wsi, oraz gromadnie do Rodziców naszych. Życzymy wszystkim: zdrowia, dużo siły i tężyzny duchowej w pokonywaniu trudności na drodze w zwyż. Doczekania trwałych owoców ze swej pracy oraz zadowolenia wewnętrznego. Wreszcie życzymy męstwa, by wszyscy mogli wytrwać w walce i przyczynić się do postawienia Polski Ludowej w sile i mocy, w wielkiej potędze ducha i kultury, bo „odłogiem leży nasza rola..."

L. Śmiałkówna i Jaroszewska.

List

...Pamiętacie tę odprawę w lesie, tę przysięgę i tych wysznurowanych w rzędy naszych chłopców z B. Ch. Wydaje mi się, że ponad szum lasu, ponad mrok idących nieznanych wtedy cieni i wydarzeń, ponad pieśń roty i słowa przysięgi — niosły się nasze wspólne słowa: Wasze i moje — słowa ukochania do głębi Polski, wsi polskiej, jej sprawy, która idzie, człowieka takiego o jakim marzymy, by stał się rzeczywistością w Polsce...

Duszą tej nocy cudownej i czarem jej było Wasze serce, Kolego. I tak nieraz myślę, że Was tu nie ma, że tamci nasi chłopcy, Bóg wie gdzie i jakimi drogami życia maszerują — ale wierzę, że czar ten, tamtej nocy i przysięgi do dziś w sercach i w duszach ich tkwi — jak cudowny kwiat. Że tamta przysięga to nie była tylko formalność, lecz poderwanie w duszach chłopców do lotu naszych spraw, naszej ukochanej idei. Wspominają o tamtym momencie często, a przy okazji i o Was, o słowach Waszych i moich i teraz idą na nasz odzew coraz liczniej, coraz wierniej. Niech to przekonanie — jako dar imieninowy — idzie do Was, bo serce Wasze jest tego warte...

A drugie wspomnienie: gdy Wasza Jadzia wskazując na Waszego małego synka Jasia przestrzegała Was przed tym co może Was spotkać w niebezpiecznych chwilach — całując dziecko odrzekliście poprostu: — to trudno. Jaś, to tylko jeden człowiek, a tam jest ich tak wielu i ja za nich odpowiadam. Jakże ja ich zatem mogę zostawić? — Te Wasze słowa mają wartość cudownego, najczystszego diamentu. Gdyby tak wszyscy mogli myśleć i postępować w Polsce byłoby mniej ciężkich spraw i chwil... i to niech będzie darem — jako ocena. Niech tych kilka prostych słów wyczaruje Wam obrazy wspomnień i niech one promienią Wam Waszą duszę i radują serce, niech krzepią i niech płyną dalej poprzez Was w nasze szare, mnogie zagony ludzkie, co czekają na rosę ożywczą serc i dusz czystych i oddanych — z nich się bowiem rodzą idee i z nich zapalają się promienie niegasnącego Dobra i Prawdy.

M.

W naszej organizacji

Łódzkie radio a Wici

Na Walnym Woj. Zjeździe Zw. Mł. Wiejskiej „Wici" padło pod adresem Woj. Zarządu pytanie: „dlaczego nie słychać nas przez radio? Kto jest temu winnen, czy Wici, czy radio?"

— Jest to pytanie na które nie łatwo dać odrazu odpowiedź. Bezwzględnie dużo winy ponosimy my sami. W programie audycji rozgłośni łódzkich jest miejsce na t. zw. audycje dla świetlic wiejskich, które my, wiciarze mamy prawo zapełnić swoim programem. To, że zapełniliśmy te audycje zaledwie kilka razy, była to w dużej mierze nasza wina. Nie dysponujemy jeszcze w tej chwili dostatecznym zapasem materiału i często się zdarzało, że poprostu nie mieliśmy czym zapełnić programu. Są to jednak wszystkie trudności do przezwyciężenia. Radio niejednokrotnie wykazuje w stosunku do nas życzliwość i dobrą wolę i takie rzeczy jak stała, ściśle określona pora naszych audycji, czy długości ich trwania — na pewno z wydziałem programowym P.R. w Łodzi uzgodnimy, ze swojej strony musimy wykazać jednak więcej zainteresowania i grono wiciarzy, współpracowników radia musi się znacznie powiększyć.

Jest jednak pewna poważna przeszkoda w realizowaniu audycji wiciowych.

Od samego początku naszych kontaktów z łódzkim radio stawialiśmy twardo: Audycje organizowane przez Wici muszą oddawać istotne oblicze organizacji, w tym bowiem, naszym zdaniem, tkwi ich zasadnicza wartość. Tymczasem postulat ten przez wydział programowy P.R. w Łodzi nie zawsze jest należycie rozumiany. I tutaj właśnie tkwi przyczyna częstych niestety nieporozumień jakie zachodzą pomiędzy Wiciami a radiem. Punkt szczytowy tej, nazwijmy poetycko „waśni", przyszedł przy realizowaniu audycji pt. „Wiciowa poezja". Radio miało do niej wiele zastrzeżeń. Jeden wiersz był za długi, w drugim szwankowała forma, miejscami układ był nie radiofoniczny. Cóż mieliśmy robić...?, schyliliśmy pokornie głowy i zgodziliśmy się na poprawki, bowiem na pewno były słuszne. Potem jednak przyszła druga korekta, która nas wyraźnie zabolała i „stawiliśmy się okoniem". Kłóciliśmy się o tę drugą korektę, ale z niewielkim skutkiem bowiem niewiele nam ustąpiono. Doszliśmy do wniosku, że z ob. vicedyrektorem Turkiewiczem różnimy się w poglądzie na audycje wiciowe. O co dokładnie rzecz idzie — spytacie.

Otóż „główny bój" szedł o wiersz kol. F. Sobieszkówny p.t. „Dziwny Jasiek". Obywatel Turkiewicz ostatnią strofkę uznał za niemoralną dla Radia. Dla lepszego oświetlenia sporu podaję treść dwóch ostatnich zwrotek:

W sad się z izby pełnej brzęku
Wyśmignęło dwoje,
„Pocałujże mnie Jasienku,
Bo się czegoś boję".
„Nie potom cię w sad uprasał
Bym cię miał całować"
Jasiek zadarł w górę nosa
Poleciał tańcować.

Bez wątpienia treść tej niby fraszki nie jest budująca moralnie, ale na pewno jest moralniejsza od wielu nadawanych na płytach piosenek przebojowych? Audycja przeznaczona była dla świetlic wiejskich. Świetlice wiejskie skupiają zwykle młodzież od 17 lat w zwyż, a więc nie dzieci. Argument ob. Turkiewicza, że audycji będą słuchały również dzieci, ponieważ będzie to czas przedpołudniowy, uważam za nieistotny, bowiem dzieci na pewno nie połapią się na tej „sprośności". Stwierdzamy natomiast, że dowcip jaki tkwi w tej niby fraszce jest bardzo charakterystyczny dla środowiska chłopskiego, chociaż dla niejednego człowieka z miasta może wydać się on kostropaty i taki... chłopski..., chamski... Bardzo nam z tego powodu przykro, że chłopscy pisarze, wyrośli na kulturze ludowej — w zakresie erotyki piszą utwory takie „kostropate" i nie ma w nich ani »dyszących łon«, ani »nagich ramion«, ani »pełnych warg«, ani innych rzeczy równie »subtelnych«.

Jeżeli już mowa o poziomie moralnym młodzieży wiejskiej, to stwierdzimy na marginesie, że najrozmaitsze przeboje taneczne — tanga i nie tanga, których w programie radiowym pełno, mogą bardziej zachwiać poziom moralny młodzieży chłopskiej aniżeli ta nieszczęsna fraszka.

Drugim zadrażnieniem w korekcie, jaką przeprowadził wydział programowy przy audycji „ Wiciowa poezja", były poprawki w słowie wstępnym. Stwierdziliśmy w nim, że „na wsi nie ma ani kin, ani teatrów, ani odczytów, nie ma nawet często szkoły powszechnej", dalej napisaliśmy, że „wieś polska jest odgrodzona od zdobyczy ludzkiego ducha i mózgu nieprzebytym murem". Zgodzono się na to, że nie ma kin, teatrów i odczytów, ale to, „że nie ma nawet często szkoły powszechnej"— skreślono. Dalej to, że wieś jest odgrodzona od zdobyczy ludzkiego ducha i mózgu" — zmieniono na czas przeszły, że to było. Wynika z tego, że wsi nie brak już szkół powszechnych i że mur dzielący wieś od miasta już nie istnieje (tak niemal dosłownie powiedział ob. Turkiewicz). Niestety tak jeszcze nie jest. Powszechne to dzisiaj jeszcze zjawisko, że chłopskie dziecko w błotnistą jesień lub w mroźną zimę musi iść do szkoły 6—7 km, a w szkole jest ciasno i duszno, bo jest tylko jedna izba. Czyż wreszcie brak kina, teatru, odczytów (na co się ob. Turkiewicz zgodził) nie jest właśnie tym murem chińskim, dzielącym miasto od wsi?

Dekretów o demokratyzacji oświaty i kultury nie zrealizujemy przez „radosną państwowo - twórczość" mniej więcej w tym stylu: „było źle, ale teraz jest dobrze, bo już mamy demokrację". Zmieniły się na korzyść mas ludowych zręby ustroju ale faktyczny, niedemokratyczny stan rzeczy na wielu odcinkach nie uległ jeszcze zmianie. Nie jest to dziwne, kiedy uprzytomnimy sobie, że tak niedawno jeszcze był front na Wiśle..., ale dziwne jest np. to, że Kinofikacja, chociaż by mogła to uczynić — nie organizuje dotąd wcale wędrownych kin po wsiach, albo Ministerstwo Kultury i Sztuki nie pokazało jeszcze wsi ani jednego wędrownego teatru, gdzie by grali prawdziwi, nie amatorscy, aktorzy. Tego rodzaju „kwiatki" bardzo nas, wiciarzy, niepokoją dlatego krzyczymy, że jest mur chiński i w ogóle nie jest tak świetnie jak to przedstawia się często.

„Radosna państwowotwórczość" jest już chwilami bardzo nudna, a co ważniejsze — nie celowa. Niechaj nam, wiciarzom, będzie wolno bez przeszkód mówić o tych rzeczach, z brakiem których walczymy. My właśnie chcemy na cały głos krzyczeć, że są wsie, w których nie ma szkół powszechnych, że chłop jeszcze dzisiaj nie ma należytego dostępu do zdobyczy intelektualnych.

Dziwiono nam się w Radio, że kłócimy się o takie „błahostki". Jeżeli są to błahostki, to niechaj na przyszłość wydział programowy nam je przepuszcza, dla nas bowiem to, abyśmy w wiciowych audycjach byli sobą jest bardzo ważne. Z wdzięcznością przyjmujemy poprawki co do formy naszych prac, co często u nas jeszcze kuleje, ale na poprawki co do treści nie godzimy się. Treści tej nie wstydzimy się i nie powinno jej się wstydzić ani „bać" Radio w ustroju demokratycznym.

Serejski.

OGŁOSZENIE

Dnia 1 października 1946 roku rozpoczyna pracę Uniwersytet Ludowy w Głuchowie Skierniewickim.

Do Uniwersytetu tego przyjmowani będą chłopcy i dziewczęta od lat 18. Kurs trwać będzie 5 miesięcy. Opłata za całkowite utrzymanie i mieszkanie w internacie wynosi 1 kilogram tłuszczu miesięcznie — lub równowartość w pieniądzach. Za niezamożnych powinny opłacać organizacje, lub samorząd. W wyjątkowych wypadkach daje stypendium Uniwersytet.

Podanie o przyjęcie należy wysyłać pod niżej podanym adresem do dnia 1 września b.r. Do podania trzeba dołączyć: własnoręcznie napisany, szczegółowy życiorys, oraz opinię Koła Młodzieży, albo Spółdzielni, albo jakiejś innej organizacji czy instytucji. Zawiadomienie o przyjęciu przyślemy każdemu osobno — po otrzymaniu zgłoszeń.

W programie pracy, tak tu, jak w innych Un. Lud., dużo miejsca przeznacza się na ludowy teatr, śpiew i muzykę. To też, kto tylko ma, niech przywiezie ze sobą instrument muzyczny i strój ludowy.

Uniwersytet Ludowy nie uczy wprawdzie żadnego rzemiosła, ale pomaga w odnalezieniu własnej drogi życia, ułatwia pracę nad sobą, dodaje człowiekowi mocy w krzesaniu i hartowaniu w sobie i u innych czynnej i twórczej postawy wobec życia i pracy społecznej. To też młodzież wiejska, a zwłaszcza ta najlepsza — wiciowa, powinna jaknajliczniej przybyć do Uniwersytetu Ludowego.

Koleżanki i Koledzy! Czekamy na Wasze zgłoszenia, które należy wysyłać pod adresem: poczta **GŁUCHÓW SKIERNIEWICKI, Uniwersytet Ludowy Adolf i Emilia Olechnowiczowie.**

Komunikat

Funduszu Stypendialnego im. Macieja Rataja w sprawie ubiegania się o stypendia na rok szkolny 1946/47.

O stypendia ubiegać się mogą:

a) uczniowie pochodzenia chłopskiego ze szkół zawodowych i ogólnokształcących wszystkich stopni oraz słuchacze uniwersytetów ludowych i kursów korespondencyjnych.

b) synowie i córki inteligencji pracującej na wsi, o ile są uczniami wyżej wymienionych szkół.

Przy udzielaniu stypendiów Zarząd Funduszu zwróci szczególną uwagę na akademików, kończących studia.

Każdy kandydat winien nadesłać:

1) umotywowane podanie
2) życiorys
3) zaświadczenie szkolne
4) zaświadczenie urzędu gminnego o stanie majątkowym i warunkach materialnych.
5) inne stypendia jakie kandydat otrzymuje, bądź świadczące o niekorzystaniu z innych stypendiów i pomocy.
6) zaświadczenie organizacji, do której należy kandydat lub jego rodzice.
7) zobowiązanie się do całkowitego zwrotu otrzymanych sum stypendialnych, które stypendysta winien oddać w ciągu dziesięciu lat, licząc od chwili ukończenia studiów.

Zaświadczenia, które nie można uzyskać w okresie wakacyjnym, należy nadesłać po rozpoczęciu roku szkolnego.

Podania należy nadsyłać pod adresem:
Fundusz Stypendialny Ruchu Ludowego im. M. Rataja. Łódź, Aleje Kościuszki 45.

Zarząd

Przegląd wydarzeń

Konferencja Pokojowa

Oczekiwana przez cały świat z nadzieją na lepsze jutro konferencja Pokojowa rozpoczęła się 29 lipca przy współudziale delegacyj 21 narodów zwycięskich. Głównym tematem Konferencji są traktaty pokojowe z byłymi sprzymierzeńcami Niemiec. Opublikowanie tekstów traktatów nie przyniosło niespodzianek i obok zmian terytorialnych (które z grubsza naszkicowaliśmy w poprzednim numerze) zawierają punkty, dotyczące ograniczeń natury wojskowej. Zredukowano armie i ich wyposażenie oraz floty b. sprzymierzeńców niemieckich, a w stosunku do tych państw, które walczyły później z Niemcami, zastosowano znaczną obniżkę kontrybucji wojennej.

Już pierwsze dni Konferencji — po przemówieniach ministrów Wielkiej Czwórki — ujawniły jakie ogromne będą trudności w obradach. Pominąwszy sprawy protestów państw nie godzących się na teksty traktatów (np. Jugosławia) — zarysował się spór o regulamin obrad. Zapowiada się walka o to, czy o wyniku głosowania na Konferencji decydować ma zwykła większość (np. 51 na 100), czy też większość dwóch trzecich głosów (np. 66 na sto). Delegat australijski Evatt podał wniosek, aby decydowała zwykła większość, co wywołało liczny sprzeciw. Trzeba podkreślić, że bardziej demokratyczne jest decydowanie większością dwóch trzecich, gdyż za wynikiem wówczas głosowania jest znacznie większa liczba uczestników Konferencji (np. zamiast 51—66).

Mimo tych kwestyj spornych, Konferencja toczy się w atmosferze przyjaznej i pełnej nadziei. W chwili oddawania numeru do druku trwają debaty na temat ewentualnych poprawek do traktatów, które jeszcze nie są „doszlifowane" i wymagają „wykończenie".

Konferencja ma trwać do 23 września.

W kraju

Po sensacjach w rodzaju procesu Greisera, po uroczystym Święcie Morza — sytuacja w kraju kształtuje się „spokojnie". W blasku Konferencji Pokojowej obserwowanej z zaciekawieniem (polska delegacja wystąpi prawdopodobnie z wnioskami o poprawki graniczne) bledną takie wydarzenia jak proces terrorystów niemieckich, którzy chcieli oderwać Dolny Śląsk od Polski. Nastał czas żniw, a w polityce wewnętrznej czas „ogórkowy", chociaż i na tym polu notujemy takie zmiany w Stronnictwie Pracy (nowi członkowie Zarządu i nowa deklaracja).

Druga Rocznica Powstania Warszawskiego obchodzona była uroczyście i z godnością. W całym kraju zamanifestowano cześć dla bohaterów Powstania.

Poza tym panuje stan wyczekiwania: na wyniki Konferencji Pokojowej, a w związku z tym na lepsze jutro.

Zawiadamiamy zarządy powiatowe, związki sąsiedzkie, oraz Koła Młodzieży Wiejskiej Wici, że dożynki wojewódzkie odbędą się w dniu 15 września. Należy rozpocząć przygotowania, by występy nasze miały charakter piękny, godny i masowy.

ZARZĄD WOJEWÓDZKI

WARUNKI PRENUMERATY:
Rocznie — zł 120, kwart. — zł 30. Numer pojedyńczy — zł 5. Łącznie z CHŁ. Ż. GOSP.: rocznie — zł 200, kwart. — zł 50

Wydawca: Spółdzielnia „Prasa Chłopska", Łódź, Al. Tadeusza Kościuszki Nr. 45.
Redaguje: Komitet Redakcyjny. Konto P. K. O. Łódź, III — Nr. 910.

Druk: „Łódzki Instytut Wydawniczy", ul. Żwirki 17, tel. 206-42 D. 09709

PRZYSPOSOBIENIE ROLNICZE

DWUTYGODNIK MŁODZIEŻY WIEJSKIEJ

Wydawnictwo Ministerstwa Rolnictwa i Ref. Roln., Dep. Oświaty Rolniczej

NR 1 (X) WARSZAWA – 31 LIPCA – 15 SIERPNIA 1946 Nr 13–14

Nasze wystawy i pokazy

Z chwilą przystąpienia do pracy w konkursie p. r. wysiłek nasz jest skierowany na osiągnięcie jak najlepszego wyniku. Wiemy, że wynik ten będzie oceniany przez kolegów, sąsiadów, lustratorów i in. Ocena będzie się odbywać na poletkach i na pokazach, a niekiedy i na większych wystawach. Do tych pokazów i wystaw musimy się przygotowywać już teraz, jeżeli chcemy, aby dobrze wypadły i naprawdę zainteresowały zwiedzających.

Na swoich pokazach młodzież uzasadnia w sposób przekonywujący cel pracy oświatowej, odsłania jakby kurtynę, poza którą środowisko widzi lepszą przyszłość gospodarstw rolnych i drogi do niej wiodące. Na pokazach bowiem nie tylko możemy zainteresować ludzi wysokimi plonami, ale również powinniśmy przedstawić, jak się do takich wyników dochodzi; powinniśmy wyjaśnić te bardzo ciekawe zjawiska, jakie się dadzą zaobserwować na poletkach przez czas pielęgnacji roślin.

Wyniki naszych obserwacji mogą być na pokazach ciekawsze nieraz, niż sam plon, o ile, oczywiście, umiejętnie je przedstawimy. W roku bieżącym np. brak opadów utrudniał w dużym stopniu rozwój roślin. Kiedy jednak przyjrzymy się tej sprawie z bliska, to widzimy, że na tej samej ziemi, w tej samej okolicy ta sama roślina w jednym gospodarstwie wygląda dość dobrze, a w innym bardzo słabo. Szukając przyczyn, dowiadujemy się, że te ładniejsze rośliny były znacznie w c z e ś n i e j w y s i a n e, a więc zdążyły wykorzystać wilgoć zimową gleby; nadto ziemia w międzyrzędach utrzymywana była w stanie pulchnym, a pole wolne od chwastów, które przecież tak silnie ogałacają glebę z wilgoci. W drugim wypadku wysiew mógł nastąpić o kilka dni później, mniej staranna była uprawa międzyrzędowa, rośliny nurzały się w chwastach. W tych warunkach rozwój musiał być zahamowany zupełnie.

Poletka więc, obrazujące porę siewu, umiejętną i staranną pielęgnację oraz uprawę międzyrzędową, zaopatrzone w odpowiednie napisy, mogą wzbudzić w każdym duże zainteresowanie. Na pokazie można je urządzić na stołach, gdzie należy nanieść odpowiedniej ziemi; jedno poletko urządzić z pięknymi, dorodnymi roślinami, a obok drugie z roślinami słabymi na glebie zaskorupionej i zachwaszczonej.

W niektórych okolicach na wiosnę pojawiła się na burakach groźna choroba, zwana zgorzelą siewek. W jaki sposób przedstawić tę chorobę na pokazie?

Należy wysiać dość gęsto n i e z a p r a w i o n e nasiona buraka do skrzynki na 3 — 4 tygodnie przed terminem pokazu, trzymać w miejscu cienistym i nadmiernie podlewać. W takich warunkach choroba wystąpi z chwilą pojawienia się małych roślinek. Jednocześnie do drugiej skrzynki wysiać nasiona z a p r a w i o n e, trzymać na miejscu osłonecznionym, a otrzymamy piękne i zdrowe siewki.

Z tego rodzaju skrzynek możemy urządzić bardzo ciekawe stoiska w formie malutkich jakby poletek, gdzie będą pokazane skutki choroby, warunki, w jakich się ona rozwija, oraz sposoby jej zapobiegania. Wszędzie, oczywiście, powinny być napisy objaśniające.

W podobny sposób możemy urządzić stoiska, obrazujące gęstość siewu, czas przerywki itp.

Na takich małych poletkach można również pokazać, jak stosować różne narzędzia, jak strzemiączko, norkrosy, planety i inne, oraz jak i kiedy najlepiej niszczyć chwasty.

Obecnie spotykamy ogrmne masy szkodników na warzywach, drzewach owocowych i roślinach okopowych. Leżą więc i tutaj przed nami duże możliwości bliższego zainteresowania środowiska naszymi pracami. Bo gdybyśmy tylko część tych szkodników mogli pokazać szerszemu ogółowi, stalibyśmy się we wsi prawdziwymi odkrywcami. Znane tu są np. ludziom różne gąsienice, żerujące na liściach kapusty; ale nie wszyscy wiedzą, skąd się one tam biorą; nie wiedzą, że z tych gąsienic powstają poczwarki, a później motyle; rzadko kto wie, jak wyglądają jajeczka tych motyli, gdzie one je znoszą i w jakiej ilości. Pokazanie zatem rozwoju motyla w poszczególnych jego okresach (jajeczka, gąsienice, poczwarki, owady dojrzałe), pokazanie jego siły rozmnażania się otworzy ludziom oczy na niebezpieczeń-

stwo tych szkodników. I ogromne zainteresowanie wzbudzi uwidocznienie sposobów tępienia jajeczek, liszek czy poczwarek.

Wiemy, że motyle i ćmy nie tylko żerują na kapuście. Podobne szkodniki, lecz nie takie same, niszczą owoce w sadach albo lasy i parki. Obecnie latem dzieje się to na naszych oczach. Chodzi tylko o to, abyśmy mogli zebrać okazy tych owadów, umieli je właściwie nazwać, dowiedzieć się, jak i czym je niszczyć, a wtedy przy pomocy odpowiednich napisów, pokazania uszkodzonych roślin oraz środków chemicznych, przy których pomocy należy tępić tych „zbrodniarzy", można urządzić bardzo pouczające stoisko.

Ciekawą grupą szkodników są także wszelkiego rodzaju muchy, wyrządzające wiele szkody w zbożach, warzywach i w oborze (giez bydlęcy). Możemy tu również pokazać uszkodzone rośliny, sposób rozmnażania się owadów i sposoby ich tępienia. Mogą być trudności ze znalezieniem dojrzałej muchy, np. śmietki kapuścianej. Otóż tutaj łatwo sobie poradzić w ten sposób, że wyszukujemy larwę muchy pod chorym krzakiem kapusty i razem z rośliną i grudkami ziemi wkładamy do doniczki, zagrzebujemy ziemią i nakrywamy szklanym naczyniem. Po kilku dniach wylęgną się nam dojrzałe muchy.

Przy gromadzeniu okazów z dziedziny szkodników i chorób roślin powstaną nieraz trudności z ich zakonserwowaniem. W takich wypadkach należy się zwrócić o poradę do najbliższej szkoły rolniczej, pow. biura rolnego lub stacji ochrony roślin.

Słowem, można dać wiele przykładów, aby nasze pokazy i wystawy uczynić interesującymi i pouczającymi. Chodzi tylko o to, byśmy już teraz, kiedy rośliny są w pełnym rozwoju, o pokazach tych myśleli i układali sobie ich plan.

Stanisław Szewczyk

Plamistość i gnicie pomidorów

Plamy na owocach pomidorów, jak również gnicie ich, są częstym zjawiskiem, powszechnie spotykanym na wszystkich plantacjach.

Przyczyną powstawania plam i gnicia owoców jest istnienie pasożytniczych grzybków i bakterii, występujących na pomidorach. Różne grzyby i różne bakterie wywołują rozmaite objawy chorobowe w postaci plam i gnicia.

Te różne objawy: „plamistość" i „gnicie" dlatego łączymy razem, że często tam, gdzie pojawi się plama, tam w następstwie powstaje gnicie.

Najczęściej zwracamy uwagę na plamy gnijące już podczas zbioru pomidorów, gdy większe ilości pomidorów zbieramy do koszyków, gdy owoce dojrzałe lub prawie dojrzałe zrywamy dla spożycia lub gdy jeszcze niedojrzałe składamy w dojrzewalni na półkach lub po prostu na słonecznych oknach. (Co moim zdaniem nie jest konieczne, gdyż pod wpływem wysokiej temperatury, a nie słońca, owoce dokańczają procesu dojrzewania).

Otóż podczas takiego masowego zbioru najczęściej odrzucamy gnijące owoce na ziemię w pobliżu plantacji, niekiedy wynosimy nieco dalej, lecz zwykle zbytniej uwagi gniciu nie poświęcamy; jedynie „klniemy", gdy stwierdzamy duży procent takich „gnilków". Nad kupkami gnijących owoców unoszą się roje much, pojawiają się również osy i inne owady; siadają one chętnie na zdrowych jeszcze owocach; niektóre z nich nawet nakłuwają te owoce, wyszukując miejsca pęknięte lub nadtłuczone. W ten sposób owady łatwo przenoszą zarazki i choroby grzybkowe lub bakteryjne, które powodują dalsze gnicie pomidorów.

Początkiem procesu gnicia jest znacznie wcześniejsze pojawienie się na owocach plam, i warto było by już na te pierwsze objawy zwracać uwagę, stosując odpowiednie środki zapobiegawcze. Zabezpieczy to nasze pomidory przed gniciem, a nas przed bardzo poważnymi niekiedy stratami.

Owoce nie są jeszcze całkowicie dojrzałe, są zielone lub lekko zaróżowione, a już spotykamy na nich plamy. Jedne z nich pojawiają się w okresie wzrostu owoców na ich wierzchołku w postaci okrągławej, brudnego koloru, lekko wklęsłej, wodnistej plamy, która prędko zwiększa swą skórkowatą pomarszczoną koncentrycznymi pierścieniami powierzchnię. (Rys. 1). Owoce takie



Rys. 1

nie dojrzewają i opadają. Przyczyną tego są zaburzenia fizjologiczne (czynnościowe) rośliny oraz napastowanie jej przez bakterie chorobotwórcze. W innych wypadkach na zielonych jeszcze owocach, na ich powierzchni powstają rozlane, bez określonych kształtów, o zabarwieniu jasnobrązowym, w części środkowej ciemniejsze, plamy. (Rys. 2). W miejscu plamy jest nieznaczne wklęśnięcie, lecz tkanka pomidora pozostaje twardą. Gdy takie jeszcze niedojrzałe owoce z podobnymi plamami przenosimy na półki dojrzewalni lub pod okna inspektowe celem spowodowania szybszego dojrzewania, to pod wpływem nadmia-

ru wilgoci i wysokiej temperatury na powierzchni tych plam pojawi się wojłokowy, mączysty nalot i plamy powiększają się, obejmując całą powierzchnię owoców, które podlegają gniciu.



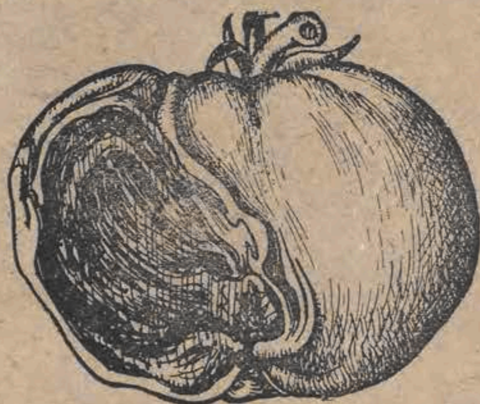
Rys. 2.

Przenoszenie więc owoców z pierwszymi objawami tej choroby do dojrzewalni jest ze wszech miar niewskazane.

Podobne schorzenia wywołuje z a r a z a z i e m n i a c z a n a, powodująca również plamistość i usychanie liści ziemniaka, jak również gnicie bulw.

Niekiedy na dojrzewających owocach — z boku — powstaje wklęsła plama o kształtach nieregularnych, początkowo brunatna, w dalszym rozwoju czarna, pokrywająca się aksamitnym nalotem. Pod taką plamą tkanka owocu ciemnieje i gnije.

Tego rodzaju schorzenie wywoływane jest przez grzybek. (Rys. 3).



Rys. 3.

Można by opisywać wiele schorzeń o podobnym typie plamistości lub gnicia, a pojawiających się na owocach w czasie dojrzewania lub na dojrzałych, przechowywanych dłużej przed sprzedażą lub spożyciem.

Najwięcej jednak odpadków stwierdzamy właśnie w dojrzewalniach, dokąd znosimy jeszcze niedojrzałe — zielone lub lekko różowiejące — owoce. Z tymi owocami wnosimy i chore, choćby z początkowymi objawami choroby.

Stąd wniosek, że należy zwracać baczniejszą uwagę na wszelkie — choćby najsłabsze — objawy plamistości na pomidorach i owoce takie usuwać z krzaków, nie pozostawiać ich w ogrodzie lub na polu, w pobliżu plantacji, lecz niszczyć przez palenie lub głębokie zakopanie. Podczas przechowywania owoców w dojrzewalni należy je przebierać i usuwać nie tylko wyraźnie gnijące, lecz również poplamione, pęknięte, a nawet lekko zgniecione; po kilku bowiem lub kilkunastu godzinach może nastąpić gnicie ich, a także i sąsiednich owoców.

Zapobiegać opisywanym chorobom należy ponadto i innymi sposobami. Przy zbiorze np. nie należy kaleczyć owoców; to bowiem sprzyja przenoszeniu się zarazków (w tym wypadku najczęściej zarodników grzybków pasożytniczych) z owoców chorych na zdrowe, do czego przyczyniają się również owady, jak muchy, osy, pluskwiaki.

Starać się należy, by owoce nie stykały się z ziemią; w okresach bowiem deszczowych łatwo przedostają się czynniki chorobotwórcze z gleby na owoce. Na ogół nadmiar pary wodnej i wysoka temperatura powodują szerzenie się chorób pochodzenia grzybkowego. Stąd w szklarniach i innych budynkach konieczne jest — szczególnie w okresie dojrzewania owoców — wietrzenie. Także i na polu przy zbytnim zagęszczeniu krzów powstają warunki sprzyjające rozwojowi grzybków i bakterii. Dlatego nie należy zbyt gęsto sadzić pomidorów, a na krzach pozostawiać tylko jeden lub dwa pędy, pamiętając o tym, by je w odpowiednim czasie podwiązać. Pędy zbędne nie powinny być pozostawione na plantacji, lecz usunięte jak najdalej — najlepiej spalone lub zakopane.

Przeprowadzając wszystkie te czynności w odpowiednim czasie, przyczynimy się w znacznej mierze do zmniejszenia nasilenia chorób powodujących gnicie pomidorów.

Zrozumiałe jest, że są to zalecenia na okres bieżący; jeśli zaś chodzi o całkowite zapobieganie opisywanym chorobom, to należy i w innych okresach prowadzić odpowiednie zabiegi. Np. natychmiast po wysadzeniu pomidorów, a więc mniej więcej w drugiej połowie maja, należy opryskać krzaki cieczą bordoską 1%-wą lub pokrewnym środkiem chemicznym, zalecanym przez stacje ochrony roślin. Ten zabieg należy powtórzyć trzy lub nawet cztery razy, lecz rozpocząć należy dość wcześnie, by skutek był należyty.

Co do innych czynności związanych z ochroną pomidorów, to uwzględniając wszelkie choroby, pojawiające się na tych roślinach, należy: 1) brać nasiona tylko ze zdrowych krzów i owoców; 2) zaprawiać je przed siewem zaprawami suchymi; 3) odkażać inspekty, budynki pod pomidory, a nawet paliki; 4) nie zapominać o ro-

zumnym płodozmianie, a więc nie sadzić pomidorów tam, gdzie były poprzednio pomidory lub nawet ziemniaki; no i wreszcie 5) nie zapominać o usunięciu resztek po tych roślinach i przekopaniu ziemi.

Przeprowadzając wszystkie te zabiegi podczas uprawy pomidorów, możemy mieć nadzieję, że otrzymamy obfity plon i zdrowy owoc.

Prof. dr Konstanty Strawiński
Lublin

O uprawie roli pod oziminy

Okres letni w gospodarstwie cechuje duża ilość prac, związanych ze żniwami, zwózką, stożeniem itd. Nic więc dziwnego, że w tej porze mało się poświęca uwagi innym, choć bardzo ważnym nieraz sprawom, jak np. uprawie roli pod oziminy. Uprawa ta cierpi na ogół właśnie wskutek braku czasu. Może być wykonana starannie tylko w tym wypadku, kiedy rola przychodzi pod zasiewy ozime w dobrym stanie — zarówno pod względem struktury, jak i wychwaszczenia. A na to trzeba czasu.

Warunki, w jakich zasiewa się oziminy, są różne i najczęściej zmieniają się zależnie od rodzaju gleby, stanu uprawowego pola, przedplonu i czasu sprzętu, wreszcie od przebiegu pogody. O tych wszystkich szczegółach musi rolnik pamiętać, brać je pod uwagę i dostosowywać uprawę w każdym wypadku odpowiednią.

Zasadniczo rozróżniamy dwa wypadki w uprawie roli pod oziminy:

1) siew po wcześnie sprzątanych przedplonach i

2) siew po późno sprzątanych przedplonach.

Niektóre ziemiopłody schodzą z pola już w początkach lipca; jeśli jeszcze przyjdą wczesne żniwa, to uprawa roli po rzepaku, białej koniczynie, jęczmieniu czy życie (czasem nawet i po pszenicy) nie nastręcza żadnej trudności. W tym wypadku zaraz po zbiorze należy ściernisko podorać i zabronować, po czym na kilka tygodni przed siewem wykonać orkę pod zasiew. Taka właśnie uprawa pod oziminy jest najwłaściwsza. Przez podorywkę niszczymy chwasty, a przez orkę na kilka tygodni naprzód pozwalamy na odleżenie się roli, co jest niezmiernie ważne — zwłaszcza przy siewie żyta. Rola podorana zaraz po sprzęcie i zabronowana pozostaje wilgotną, a dzięki temu zachodzą w niej różne korzystne przemiany. W takiej roli pulchnej i sprawnej znajdują oziminy bardzo dobre warunki dla swego rozwoju. W tym wypadku, jeśli nawet na polach wystąpi perz, jest dość czasu na to, aby przy pomocy drapaczowania i bronowania zniszczyć go całkowicie.

Gorzej jest, gdy siew oziminy wypada po późno sprzątanych przedplonach. Ma to miejsce wówczas, gdy np. po nasiennej koniczynie lub strączkowych, zbieranych na ziarno w połowie sierpnia, chcemy jeszcze zasiać żyto. W tych warunkach całą uprawę roli musimy wykonać w bardzo krótkim czasie, bo mniej więcej w okresie 5 tygodni.

Jak już wspomnieliśmy orka przed siewem żyta powinna się odleżeć. Czas ten powinien wy-

Przejawy kultury

Ambicją każdego społeczeństwa, stojącego na pewnym poziomie rozwoju, jest dążenie do osiągnięcia stanu, określanego jako k u l t u r a. Wyraz ten nie jest polskiego pochodzenia i oznacza właściwie u p r a w ę. Kultura jest wynikiem długoletniej celowej pracy uprawowej nad naturą ludzką dla stłumienia w niej mniej pożądanych naturalnych popędów, utrudniających upowszechnienie bardziej doskonałych i pogłębionych form życia — osobistego i zbiorowego. Zarówno brak, jak i istnienie kultury w danym środowisku, daje się łatwo zauważyć.

Dla porównania z naszymi warunkami przytoczę kilka przykładów kultury w innych zachodnich krajach.

A więc wielu Anglików np. uprawia z zamiłowaniem sport wędkarski. Istnieje w Anglii „Królewskie Towarzystwo Wędkarskie", które w swoim czasopiśmie ogłasza co roku nazwiska 100 wędkarzy, którzy złapali najwięcej yardów (angielska miara długości) pstrągów. (Użycie miary długości zamiast wagi ma duże dogodności dla sportowców i dlatego zostało ogólnie przyjęte). Pstrągi wolno łapać tylko przez dwa miesiące w roku; ale zwyczajowo są one łowione przez cały rok — z tym, że złapany w czasie zakazanym pstrąg zostaje po zmierzeniu go miarką wrzucony zaraz do wody z powrotem. Nieduża ranka po haczyku rybie nie szkodzi, może najwyżej czyni ją na przyszłość bardziej ostrożną. Podobno nie ma wypadku, żeby ktoś złowionego w czasie zakazanym pstrąga nie wrzucił do wody lub zapisał sobie większą jego miarę, niż była. Bo poczucie honoru i godności osobistej skutecznie chroni przed nadużyciem, niż policjant. Dodam jeszcze, iż lepsi czy szczęśliwsi wędkarze, umieszczani w piśmie sportowym, żadnych nagród nie otrzymują. Główną pobudką do wyróżnienia się jest ambicja sportowa.

W Anglii — pomimo, iż jest ona gorącą zwolenniczką wolności we wszystkich przejawach życia zbiorowego, w czasie wojny był również wprowadzony system kartkowy, obejmujący nawet tak drobne przedmioty, jak chusteczki do nosa. Bez kartki nie nabyło się chusteczki nie tylko w magazynie, ale i u straganiarza. Pokątny handel prawie nie istniał; a jeśli gdzieś się zdarzał, to zarówno sprzedawcy, jak i kupujący u nich byli w powszechnej pogardzie. A pod tym względem Anglicy są bardzo czuli. Trzeba przy tym dodać, że ten mało zresztą rozwinięty pokątny handel był uprawiany głównie przez obcych przybyszów

nosić nie mniej niż 3 tygodnie. Ponieważ przy najlepszym rozłożeniu robót w tak krótkim okresie rola mogłaby leżeć najwyżej 2 tygodnie, podorywanie mija się z celem, gdyż na dwie orki jest zbyt mało czasu. I w tym wypadku lepiej poprzestać na jednej orce, zastępując tylko podorywkę drapaczowaniem przy pomocy kultywatora lub brony sprężynowej. Uprawa taka znajduje obecnie coraz to większe zastosowanie, zastępując z powodzeniem działanie podorywki — zwłaszcza przy uprawie ściernisk; i nie pozostawia żadnych ujemnych skutków, jakie mamy wówczas, gdy zbyt często po sobie wykonywujemy orki. Rola, zruszona na powierzchni spulchniaczem, nie wysycha i następująca później orka da się łatwo wykonać.

Wykonanie dwu orek w krótkim czasie ma poza trudnościami samego wykonania jeszcze i inną ujemną stronę; jest to zbytnie przemieszanie i przesuszenie roli, co przy braku wilgoci może doprowadzić nawet do rozpylenia. Oczywiście, że siew w taką rolę nie może dać dobrych wyników. Wschody będą słabe, a po deszczu rola straci zupełnie budowę gruzełkowatą. Na cięższych glebach zasklepi się i zleje tak silnie, że młode roślinki, nie mogąc przebić skorupy, nie wzejdą w ogóle lub tylko miejscami. I to licho.

Uprawa roli pod oziminy zmienia się nieco zależnie od tego, co poprzednio rosło na polu. Jeśli oziminy przychodzą po koniczynach, mamy wówczas dość czasu na wykonanie prac uprawowych, jak i na zniszczenie darni koniczynnej oraz ewentualnego perzu, który po przesuszeniu w skibie wyciągamy drapaczami sprężynowymi lub bronami, niszcząc jednocześnie inne chwasty. Potem pozostawiamy rolę w spokoju, i dopiero jak się zazieleni, wykonujemy orkę siewną. Jeśli pole jest bardzo zaperzone, należy jeszcze przed orką, ale już po zazielenieniu się roli, puścić drapacze i brony dla zwalczenia chwastów.

Po strączkowych wystarcza pod oziminy tylko jedna orka, bo rola w tym wypadku będzie pulchna i w dobrej strukturze. Tu zupełnie wystarczy zastosowanie sprężynówki zaraz po sprzęcie i niedopuszczenie do zaskorupienia i zachwaszczenia, co można wykonać przez powtarzanie sprężynowania.

Po rzepaku, choć rola jest pulchna i w dobrym stanie, to jednak rozsypany na polu rzepak nieraz nam sprawia kłopot. Łatwo na to zaradzić. Jest bowiem dość czasu, aby wykonać zarówno podorywkę, która wywoła wschody rzepaku, jak orkę siewną, która je zniszczy. W międzyczasie można stosować drapacze i brony.

Niezbyt dobrym przedplonem dla ozimin są kłosowe. W tym wypadku powinniśmy wykonać zarówno podorywkę, jak i orkę siewną — z tym, że w międzyczasie jak zwykle drapaczujemy i bronujemy.

Najgorszym ze wszystkich przedplonów są dla ozimin okopowe. Schodzą one tak późno z pola, że nie tylko nie ma czasu na uprawę, ale siew bywa opóźniony, co szkodzi zasiewom. Tu po zebraniu łętów można, a nawet powinno się od razu orać, aby uniknąć zbytniego rozpylenia roli.

Na zakończenie można śmiało powiedzieć, że staranna uprawa i przygotowanie roli pod oziminy razem z odpowiednim nawożeniem i odpowiednią pielęgnacją stworzą dla roślin tak korzystne warunki wzrostu, że w roku następnym zbierzemy naprawdę obfite plony.

Inż. Felicjan Lucht - Kotowicz

W angielskich jadłodajniach kartek nie było. Ale obowiązywał przepis, że można było spożyć tylko za określoną kwotę. I przepis ten był rzetelnie przestrzegany zarówno przez właściciela jadłodajni, jak i przez gości. Ktoś, obdarzony lepszym apetytem, mógł odwiedzić po kolei dwie i trzy jadłodajnie, bo żadnej kontroli pod tym względem nie było. Lecz takie wypadki zdarzały się podobno nader rzadko.

We Francji, nie wyłączając Paryża (a wiadomo, że w dużych miastach zdarzają się różne typy), był zwyczaj, że gdy sprzedawca pism opuszczał na pewien czas swoją budkę, to zostawiał ją otwartą; nabywcy zaś kładli wówczas należność za gazety na spodek, na którym nawet właściciel zostawiał nieco drobnych, żeby w razie potrzeby kupujący mógł wziąć sobie resztę. Tak samo jest ze stoiskami z kwiatami na ulicy.

Albo inny przykład. Francuzi piją dużo wina. Niektóre restauracje wydawały posiłki za ryczałtową sumę z dodatkiem wina, podawanego bez określenia ilości. Miałem możność obserwować, że goście nie nadużywali tego zwyczaju i nie wypijali więcej, niż butelkę. Jeżeli kogoś to nie zadawalało, zamawiał inny gatunek wina, niż był podawany.

W Szwajcarii w poczekalniach hotelowych sprzedawcy rozkładali czasopisma na stole, zostawiali przy nich puszkę na pieniądze i odchodzili do innych zajęć. Jakaś rzecz, zgubiona przez kogoś lub w roztargnieniu zapomniana w miejscu publicznym, z reguły nie ginęła. Można ją było otrzymać z powrotem.

Zwiedziłem sporo krajów, lecz ludzi podchmielonych np. na ulicach czy na zabawach ludowych nie spotykałem. Zapewne, i tam trafiali się amatorzy kieliszka. Ale zjawienie się w stanie nietrzeźwym w miejscu publicznym uważało się za hańbiące.

Wzajemne stosunki ludzkie cechowała uprzejmość, uczciwość i delikatność. Kradzieże i szkodnictwo trafiały się bardzo rzadko. Ludzi nawet całkiem nieznanych traktowano z zupełnym zaufaniem, jako niezdolnych do nadużyć...

Gdy mówimy o kulturze, to należy pamiętać, że wspomniane tu i podobne przejawy jej powinny być powszechne.

Kulturę stwarza praca wychowawcza: w domu, w szkole, w stowarzyszeniach, we współpracy i obcowaniu z innymi; a sprzyja jej oświata, dobrobyt, praworządność i poszanowanie godności ludzkiej.

Antoni Piątkowski

Użytkowanie robocze krów

Używanie krów do zaprzęgu, szeroko stosowane w innych krajach, w Polsce przyjmuje się z trudem i to przeważnie w okolicach o ubogich glebach, w gospodarstwach biednych. Panuje dziwna niechęć do pracy krowami do tego stopnia, że gospodarz, który używa krowy do zaprzęgu, bywa wyśmiewany i uważany za biedaka. Sprawa ta w rzeczywistości przedstawia się całkiem inaczej. Używanie krów do pracy powinno mieć miejsce nie tylko w biednych gospodarstwach, ale w każdym gospodarstwie małym, które nie jest w stanie utrzymać konia. Koń bowiem jest najdroższą maszyną, gdyż musi być karmiony i obsługiwany nawet wtenczas, gdy nie pracuje. Może się on opłacić w gospodarstwie 15 — 20 morgowym; a w mniejszym, tylko wówczas, gdy ma jakąś dodatkową pracę poza gospodarstwem. W przeciwnym razie koń zjada całą paszę, a krowy są głodne. Dużo lepiej się opłaci dobrze żywić krowy, trzymać nawet więcej krów, a wówczas rozumnie je użytkując, będziemy mieli i mleko, i pracę. Trzeba jednak przestrzegać pewnych zasad.

Jakie bydło używać do pracy? Krowa robocza powinna posiadać odpowiednią budowę, a więc silnie rozwinięty przód, mocny kark, ciężki łeb, mocny grzbiet, dobrze ustawione nogi, dość grubą skórę. Najlepiej nadają się do tego celu krowy rasy simentalskiej, czerwonej polskiej, niektóre sztuki bezrasowe, a z nizinnego bydła — tęgie, jakie przed wojną spotykaliśmy w Poznańskim i na Pomorzu, lub niemieckie odmiany bydła nizinnego. Krowy delikatne, mleczne, z hodowli wysokoszlachetnej, zarodowej, do pracy się nie nadają.

W jakim wieku krowy oprzęgać? Do przyuczania najlepiej brać młode 3-letnie sztuki. Oprzęgania nie zaczynać w okresie wysokocielności. Przyuczać najlepiej z krową, już umiejącą pracować, albo z wołem lub oprzęganym buhajem. Krowy starsze uczą się nieco trudniej; trzeba mieć więcej cierpliwości, i nauczanie trwa dłużej.

Przyuczanie do zaprzęgu. Trzeba krowy stopniowo przyzwyczajać do oprzęgania. Najpierw nakładamy uprząż i w niej zwierzę oprowadzamy; potem zakładamy krowy do lekkich sanek od pługa; stopniowo sanki coraz więcej obciążamy — tak, że zwierzęta po trochu przyzwyczajają się do ciężaru. Wreszcie zakładamy krowy do pustego wozu, który znów coraz bardziej obciążamy. Prowadzić krowy najlepiej znanymi drogami, którymi często chodzą na pastwisko, do wodopoju itd.

Gdy już się nauczą ciągnąć wóz, można je używać do wszelkich robót polnych, przy czym jeśli chodzi o orkę, to początkowo trzeba krowy prowadzić, aby szły równo, później można je przyzwyczaić nawet do kierowania lejcami. Krowy mogą wykonywać wszelkie roboty polne; nie są tylko zdolne do szybkiego ruchu (kłusa); a więc oczywiście tam, gdzie chodzi o szybką jazdę, krowy się nie nadają. Najlepszą porą do przyuczenia krowy jest wiosna, gdyż nie ma już ślizgawicy, a nie jest jeszcze gorąco, i muchy nie dokuczają.

Uprząż. Jeśli chcemy, aby krowy nie męczyły się i nie odparzały oraz wydajnie pracowały, musimy stosować odpowiednią uprząż. Dawne drewniane jarzma na dwie sztuki należy zupełnie zarzucić, bo to barbarzyński zaprzęg. Lepsze już nieco są jarzemka na każdą sztukę oddzielnie, gdyż zwierzę ma większą swobodę ruchów. W niektórych krajach używane są tzw. naczółki, tj. jarzemka przymocowywane do rogów; zwierzę ciągnie wówczas łbem i szyją i ma ruchy bardzo skrępowane. Najlepszą uprzężą jest chomąto, które jest jakby odwróceniem końskiego, tj. szersze u góry, a węższe u dołu; u dołu jest otwarte, aby umożliwić nakładanie przez kark, i jest spinane rzemykiem lub łańcuszkiem. Może być bardzo tanio zrobione: kleszczyny drewniane, poduszka z grubego płótna (brezentu) wypchana słomą, pasy parciane. O jednym trzeba pamiętać: że bydlę ciągnie nie piersiami, a karkiem; i dlatego punkt przyczepu postronków powinien być umieszczony wysoko, koło kłębu, a więc znów odwrotnie, niż w końskim chomącie. Nieraz używamy uprzęży w rodzaju szlei (półszorków), szczególniej dla buhajów; ale można ich używać i dla krów. Jest to poduszka skórzana, opierająca się o kłąb. Do niej są umocowane kółka, do nich zaś postronki lub łańcuchy. Poduszka podpięta jest pasem przez szyję, wzdłuż łopatki. Jest to uprząż bardzo lekka, prosta i niedroga.

Do kierowania używamy lejców i uździenicy, przy czym nie ma wędzidła, tylko łańcuszek zakładany na nos krowy.

Jak pracować krowami? Powinno nam zależeć na tym, aby od krowy mieć dwa rodzaje pożytku: pracę i mleko. I to jest do osiągnięcia, ale trzeba wiedzieć, jak krowy używać do roboty. Nie można krów zbyt przeciążać pracą; a więc jeśli mamy większe gospodarstwo, to lepiej pracować na zmianę. Następnie trzeba się liczyć z tym, że krowa jest zwierzęciem przeżuwającym, potrzebuje zatem sporo czasu do przeżucia i przerobienia paszy na mleko, powinna więc mieć dość długie odpoczynki.

Krowy pracować mogą nawet w okresie cielności, ale nie można ich oczywiście zbyt przeciążać. Pracę zaprzestajemy jedynie w okresie wysokocielności i bezpośrednio po ocieleniu.

Obchodzenie się z krowami winno być *jak najłagodniejsze* — szczególniej przy nauce pracy w zaprzęgu; nie wolno się denerwować, ani bić zwierząt, gdyż to tylko utrudnia naukę. W ogóle *zawsze* należy postępować łagodnie z krowami, które są zwierzętami nerwowymi, i nic tak źle nie wpływa

na mleczność, jak złe obchodzenie się z nimi. Stąd głównie pochodzi przekonanie, że praca źle wpływa na wydajność krowy; gdy tymczasem źle wpływa nie tylle praca, co złe postępowanie ze zwierzęciem.

Krowy pracujące powinny być starannie pielęgnowane: dobrze czyszczone, chronione przed odparzaniami, obtarciem itp. Ważną rzeczą jest utrzymywanie racic w porządku; powinny one stale być obcinane i spiłowywane raszplą kowalską, aby krowy nie odgniatały sobie piętek, co ma często miejsce przy niedbałym utrzymaniu racic.

Ż y w i e n i e. Jeśli chcemy mieć i pracę, i mleko, to musimy odpowiednio krowy żywić. Spadek mleka u krów pracujących bardzo często pochodzi z niedożywiania ich. Często się też zdarza, że krowy bardzo chudną. Zarówno spadek mleka, jak i chudnięcie, nie będą miały miejsca, jeśli będziemy je dobrze żywili.

Przede wszystkim krowa winna otrzymać paszę taką, jaka jej się należy za mleczność; a poza tym dodatek za pracę. Jeżeli mamy krowy o średniej mleczności, tj. około 10 litrów, a krowy pracujące normalnie około 6 godzin dziennie, to wystarczy zimą dodatek 5 kg buraków (lub 2 kg ziemniaków) i 3 kg dobrego siana lub koniczyny; latem zaś dodatek 10 — 15 kg dobrej zielonki.

W p ł y w p r a c y n a w y d a j n o ś ć i z d r o w i e k r ó w. Jeżeli zachowamy wszystkie wyżej podane przepisy, to spadek mleczności będzie bardzo nieznaczny. Jeżeli mleczność spada znacznie, to widocznie coś jest nie w porządku. Spadek mleka jest wynagrodzony podwyższeniem % tłuszczu, gdyż praca krów wpływa dodatnio na podniesienie zawartości tłuszczu w mleku. Tam więc, gdzie mleko dostarczamy do mleczarni, płatne za tzw. jednostkę tłuszczu, tam właściwie nie mamy żadnej straty. Inaczej by się sprawa przedstawiała, gdybyśmy krowy przeciążali pracą i nie żywili odpowiednio; wówczas spadek mleka mógłby być znaczny. Również mogłoby to mieć miejsce przy użyciu do pracy krów bardzo szlachetnych, delikatnych, a szczególniej bardzo mlecznych. Krowy np. dające powyżej 20 litrów mleka, są bardzo wrażliwe; i te raczej nie nadają się do pracy.

Gdybyśmy nawet mieli pewien spadek mleczności, to to jednak taniej wypadnie, niż utrzymanie konia w drobnym gospodarstwie. Umiarkowana praca krowami jest jeszcze i z tego względu dobra, że wpływa bardzo dodatnio na zdrowie zwierząt, szczególniej młodych: przez ciągły ruch na powietrzu rozwijają się mięśnie, wykształca się cała figura, rozwijają płuca, zwierzę staje się zdrowe i odporne na wszelkie choroby.

Z tych właśnie wszystkich względów należy—jak to się mówi—„zrzucić pychę z serca", nie ma się czego wstydzić i trzeba brać się do pracy krowami, co w dzisiejszych, powojennych czasach, przy braku koni, jest często rzeczą wprost konieczną.

Inż. Józef Lewandowski

Siedem plag

(Dokończenie)

Statystyki wszystkich krajów wykazują dowodnie, jak wielkie miliony istnień ludzkich, zwierzęcych i roślinnych giną rokrocznie tylko dzięki chorobom, wywołanym przez najmniejsze organizmy, tzw. drobnoustroje czyli bakterie i grzybki przeróżne. Rdza zbożowa, głownia, śnieć, rak ziemniaczany, plamy na owocach, mączniak agrestowy, gumoza i wiele innych — to wszystko pospolite i najczęściej nie zwalczane choroby naszych roślin uprawnych. Nieznajomość rzeczy i małe zainteresowanie dla tych spraw powodują ogromne straty w plonach i w jakości produktu. A przecież celne ziarno, czysty, gładki ziemniak, owoc bez plam i należycie wyrosły inaczej są cenione i zawsze poszukiwane.

Ale żeby owe choroby, wywoływane przez bakterie i grzybki pasożytne, leczyć albo — co jeszcze ważniejsze — zapobiegać im w porę, trzeba te szkodliwe drobnoustroje poznać; poznać choćby tylko z objawów i skutków; i wiedzieć, w jakich warunkach dobrze im się dzieje i swobodnie mogą szerzyć zniszczenie, a kiedy marnieją.

Wiele bakterii i grzybków, wywołujących choroby, jest już znanych, i sposoby walki z nimi ustalone. Pozostaje jednak jeszcze sporo chorób takich, których objawy dobrze są znane, sprawcy natomiast nie są wykryci. Tak są widać mali, że przy dzisiejszym nawet stanie nauki nie podobna ich ujawnić. Tych nieznanych sprawców wielu chorób nazwano w i r u s a m i, przypisując im takie choroby, jak mozaikowatość liści u ziemniaka, kędzierzawkę, liściozwój i inne. Co to jest — nie wiadomo. Wiadomo tylko, że roślina zarażona nie rozwija się należycie, plon wydaje mały i prawie bez wartości. Po paru zaś latach roślina taka ginie wkrótce po wzejściu. Chorobę ową przenoszą prawdopodobnie owady, wysysające soki roślinne. Dzisiaj można już ją nazwać plagą, nie ustępującą w swej grozie poprzednim.

Musimy i o to kogoś zapytać i zobaczyć, jak to na gruncie wygląda...

Szósta z kolei — to plaga marnotrawstwa. Bakcyl jej usadowił się w nas samych głęboko i hula sobie, jak za najlepszych czasów, kiedy to podobno kraj mlekiem i miodem płynął... Uskarżamy się np. na brak nawozu; krowina licha trochę kiepskiego gnoju urobi, a sztucznych nawozów brak i drogie. Słowem, marne widoki! Ale...

podwórko, dokumentnie zaśmiecone, ledwo na Wielkanoc się sprząta; chwastów pełne opłotki, śmiecie i popiół drzewny po drogach się rozrzuca, gnojówka do rowu ucieka, kompostu ani na lekarstwo! Bo bakcyl ów przekorny na oczy bielmem cisnął, w mózgu rozsądne myślenie odmienił... Kto by tam tego rodzaju głupstwami się parał! Bogacze my przecie, większe nad Amerykany!

Widać tak jest, bo np. w r. 1938 sprowadziliśmy z zagranicy:

starego żelastwa 426 tys. ton za 51 milionów zł,

szmat 17 tys. ton za 20 milionów zł,

tłuczonego szkła — również za ileś tam milionów.

I to z takich krajów, jak Stany Zjednoczone, Anglia Dania, Szwecja, Holandia. Wiadomo — tamci szmaciarze, zbieracze starzyzny i odpadków. U nas inaczej!

W każdym obejściu po wszystkich zakamarkach stare żelastwo rdza je, zużyte łachy nieraz do pieca idą, butelkami i szkłem drogi się wysypuje, a pod miastami wszystkie doły i rowy pełne są zniszczonych kubłów, miednic, puszek od konserw i innych podobnych rzeczy. A jednocześnie taki sam surowiec dla fabryk sprowadzamy z zagranicy...

Zjadliwy to bakcyl takie marnotrawstwo! W zespołach p. r. trzeba nam zorganizować przeciw niemu działanie skuteczne. Niechaj się w naszych gospodarstwach nic nie marnuje. Wszystko przecie zużyć można. Bo kiepska to gospodarka. skoro — jak podano wyżej — za same stare szmaty i żelastwo płacimy zagranicy 71 milionów zł, a za wywiezione jaja w tym samym roku otrzymujemy tylko 39 milionów. Coś tu nie w porządku. A co?...

Bliskim krewniakiem bakcyla marnotrawstwa jest mikrob ślepoty. Najstraszniejsza to chyba plaga ze wszystkich, bo powoduje:

że gospodarstwo nie idzie jak należy, i dochodu nie przynosi,

że w dalszym ciągu wierzy się tylko w żytko i ziemniaki, a inwentarz dochodowy się zaniedbuje,

że konika pełnym workiem się smaruje, a poczciwą krowinę suchą sieczką opycha,

że kobiece gospodarstwo ma się w pogardzie lub lekceważeniu,

że w chałupie brud i stale przednówek,

że dzieci bose i szkoły nie znają,

że chłop jeszcze i dzisiaj jest w wielu umysłach uosobieniem ciemnoty i nędzy.

A wszystko to wina tego zjadliwego mikroba, któremu zaradzić może przede wszystkim dobra surowica w postaci p. r.

Gospodarkę polską dźwignąć — to wypleć chwasty z pól i dać dobry posiew w umysły!

Stefan Wyrzykowski

Przygotowujemy nowe zespoły p. r.

Już wszędzie w Polsce jest znane przysposobienie rolnicze. Rozumieją wszyscy jego znaczenie: i ci, co brali udział przed wojną, i ci, co pracują obecnie. Z otwartymi oczyma zabiera się do nauki młodzież drobnorolnicza, której wojna zabrała tak wiele czasu.

I trzeba tu stwierdzić, że okres okupacji nie zahamował chęci do dokształcania się zawodowego na wsi; raczej tę chęć wzmógł, bo wtedy ludzie tym bardziej się przekonali, co znaczy ulepszona, umiejętna gospodarka, do której można dojść przez zdobywanie wiedzy i odpowiednie praktykowanie.

I np. zdawało się początkowo, że gdy się wojna skończy, to ruszyć z p. r. będzie trudno, bo przecież zniszczony został wieloletni dorobek. A jednak nie było tak; kiedy instruktor p. r. wyruszył na wieś w celu powoływania zespołów, prędko i z chęcią zapisywano się do tej miłej i pożytecznej pracy.

Rok 1945/46 był więc wskrzeszeniem akcji p. r. po wojnie. Obecnie przystępujemy do szerokiego jej rozbudowania. Obowiązkiem i ambicją każdego dawnego i dzisiejszego peerowca powinno być przyczynić się jak najbardziej do powiększenia naszych dotychczasowych szeregów. Musimy przyjąć zasadę: każdy młodzieniec i każda dziewczyna, co mają zostać na gospodarstwie, jeśli z jakichkolwiek powodów nie mogą iść do szkoły rolniczej, powinni się znaleźć w zespole p.r. Każdy też dotychczasowy peerowiec powinien dbać o to, aby w swojej wsi wciągnąć wszystką młodzież w szeregi tych, co przez dokształcenie się zawodowe chcą naprawdę i swój byt poprawić, i wieś całą dźwignąć.

Obecnie znajdujemy się w trakcie montowania nowych zespołów. Wzywam więc ze swej strony wszystkich byłych peerowców i wychowanków szkół rolniczych oraz uniwersytetów ludowych, aby się przyczynili z całych sił do rozbudowy naszej akcji oświatowo - rolniczej.

Wszyscy z hasłem: „Trzeba z żywymi naprzód iść!"

Stanisław Popis
instruktor p. r. w Mławie

Przegląd czasopism

Młodzi rolnicy myśląc o podniesieniu dochodowości drobnych gospodarstw wiejskich, nie powinni pomijać również tak ważnego działu, jak hodowla pszczół. Zwłaszcza w tych okolicach kraju, gdzie są po temu dogodne warunki i gdzie jest pod tym względem odpowiednia tradycja. Pszczoły bowiem — to nie tylko dostarczycielki tak ważnego dla ludzi miodu. Ale opiekując się nimi, hodując je, współżyjąc z nimi i przyglądając się ich życiu i pracy, uczymy się i wielu innych rzeczy z zakresu przyrody, co dla każdego postępowego rolnika jest dziś po prostu nieodzowne. Kto się chce o tym przekonać, niechaj się zainteresuje bliżej treścią miesięcznika, wydawanego przez Centralny Związek Pszczelarzy, a noszącego tytuł „P a s i e k a" (wychodzi w Warszawie, ul. Pogonowskiego 11/13 m 2). Znajdzie tu w każdym numerze tyle naprawdę ciekawych artykułów, że się na pewno rozmiłuje w tym czytaniu i będzie je odtąd uprawiał stale.

A jak my dzisiaj w Polsce wyglądamy pod względem hodowli tych wyjątkowo pożytecznych stworzeń, jakimi są pszczoły?

Otóż z N-ru 5 „P a s i e k i" dowiadujemy się właśnie, iż bieżący rok miodny rozpoczynaliśmy, posiadając na całym obecnym obszarze naszego państwa około 703.500 roi.

Czy to dużo, czy mało?

W zestawieniu z liczbą ogółu naszej ludności wypada przeciętnie jeden rój na 34 mieszkańców. To bardzo mało! Zwłaszcza, że jesteśmy krajem o przewadze rolnictwa. W czasie wojny — jak dalej podają w tymże piśmie — w r. 1943 na tym samym terenie było podobno 1.500.000 roi, czyli z górą dwa razy więcej, niż obecnie. A przecież i wtedy nie było jeszcze najlepiej. Dlatego jeden z naszych pszczelarzy — *J. Szymankiewicz* słusznie pisze w N-rze 6 tegoż miesięcznika: „Dotychczas pszczelarstwo jest u nas jedną z najbardziej zaniedbanych dziedzin rolnictwa. Nie chodzi tutaj o stronę organizacyjną, gdzie obecnie wchodzimy na właściwe tory, lecz o zagadnienie fachowości. Musimy być przygotowani do tego zawodu (nawet w wypadku, gdy prowadzimy kilku- czy kilkunastupniową pasiekę amatorską), jeśli chcemy mieć dochód z niego". I rzeczywiście. W czasie wojny wielu rolników i nierolników, pociągnięci wyjątkową koniunkturą, zabrało się bez należytego przygotowania do tego dzieła, ale rzadko który z nich wytrwał do dziś. Bo wskutek nieznajomości rzeczy — zamiast zysków mieli najczęściej straty. Nauka to dla innych, że trzeba jednocześnie czytać, uczyć się, radzić u znawców, a wtedy dopiero można liczyć na korzyści z pszczół.

Oprócz jednak dochodu, co niewątpliwie jest sprawą bardzo ważną, powinno się jeszcze zwrócić uwagę na jedno: oto dzieci wiejskie jedzą zbyt mało słodyczy u nas. Zwłaszcza prawdziwych, pełnowartościowych słodyczy. A organizm dziecięcy tego koniecznie wymaga dla normalnego rozwoju. I dlatego m. in. nasze dzieci wyglądają często anemicznie, niezdrowo, źle rosną i są skłonne do chorób gruźliczych. Gdyby miały miód do chleba, na pewno by inaczej wyglądały, mniej by trzeba było wydawać na doktorów i lekarstwa i mniej by było nieszczęścia w rodzinach chłopskich. Czy nie warto więc i o tym pomyśleć? Zwłaszcza dzisiaj, kiedy w ogóle organizmy nasze są wyniszczone wskutek niedostatków długich lat wojny...

Dla podniesienia dochodowości gospodarstw prowadzą rolnicy w niektórych okolicach kraju uprawę tytoniu. Żeby i ten dział mieć na możliwie dobrym poziomie, trzeba również czytać wydawane specjalne w tym celu czasopismo pt. „W i a d o m o ś c i T y t o n i o w e" (adres Redakcji i Administracji — Warszawa, ul. Nowy Świat 4, II p.). W N-rze 7 — 8 (na lipiec — sierpień) znajdujemy m. in. artykuły, omawiające: „Suszenie tytoni machorkowych" w opracowaniu *inż. L. Baranowicza*. „Dojrzewanie i zbiór tytoniu" — *inż. S. Klarnera*, „Powietrzne suszenie tytoniu" — *d-ra A. Rogozińskiego*, „Kiedy i jak zbierać tytoń" — tegoż autora itd. Jest też artykuł *inż. F. Jankowskiego* o „Najważniejszych chorobach wirusowych". W związku z nim przypominamy, że w poprzednim numerze „PR" wydrukowaliśmy artykuł prof. K. Strawińskiego pt. „Choroby wirusowe". Warto by więc i jeden, i drugi przeczytać, żeby tym dokładniej się dowiedzieć, na czym te choroby polegają i jak je zwalczać.

Przechodząc do innych, pozarolniczych zagadnień, trzeba zwrócić uwagę na lipcowy zeszyt „R z e c z y C i e k a w y c h", który przynosi: wstępny artykuł *Ryszarda Wroczyńskiego* o Henryku Sienkiewiczu, znanym nam wszystkim powieściopisarzu, w związku z przypadającą w tym roku setną rocznicą jego urodzin; dalej, ponieważ w okresie letnim i wczesnojesiennym odbywamy najczęściej bliższe i dalsze wycieczki krajoznawcze, każdy rozumny „włóczęga" powinien sobie uważnie przeczytać, co pisze *Helena Radlińska* pt. „Z przewodnika włóczęgi"; znajdzie tu szereg bardzo ważnych i bardzo przydatnych wskazówek i rad praktycznych, które znakomicie pomogą mu w umiejętnym zorganizowaniu sobie wycieczki i w celowym wykorzystaniu jej w pracy nad sobą; znajdzie potem wiele innych przystępnie ujętych, interesujących artykułów, nie wyłączając i takiego, który omawia „Tajemnicę wszechświata".

Wychodzi też w Warszawie (przy ul. Wiejskiej 18) od niedawna drugi miesięcznik tego typu (lecz na wyższym poziomie) pn. „W i e d z a i Ż y c i e", znany i przed wojną. Otóż w pierwszym numerze znajdujemy tu obok wielu innych bardzo ciekawy artykuł *T. Głowińskiego pt.* „Wielkość i upadek Japonii". W krótkim rysie opisuje autor, jak to ten oddzielony dawniej od świata kraj, rozrzucony na wielu wyspach oceanu Spokojnego, począwszy od drugiej połowy

ubiegłego wieku zaczął niebywale szybko wzrastać w siłę gospodarczą i wojskową — tak, że przed wybuchem ostatniej wojny światowej należał do największych potęg. Dość powiedzieć, że w r. 1933 armia japońska — jak informuje autor— posiadała 161 okrętów wojennych i była trzecią co do wielkości (po Stanach Zjednoczonych i W. Brytanii) flotą wojenną na świecie. Z Japonią właśnie Niemcy hitlerowskie i Włochy zawarły w r. 1940 tzw. „pakt trzech", na którego podstawie te trzy państwa o ustroju totalnym miały zdobyć panowanie nad światem. I w r. 1941 oraz na początku 1942 niewiele brakowało do osiągnięcia tego celu. Bo kiedy Niemcy w zwycięskim pochodzie docierały do Kaukazu, Japonia zdołała zająć wielkie przestrzenie w Azji Południowo-Wschodniej i na tamtejszych morzach południowych. Aliści i tutaj mniej więcej od połowy 1942 r. zaczyna się przejawiać stopniowo przewaga Stanów Zjednoczonych i Anglii. Aż wreszcie pod koniec lipca r. 1945 rzucona na jedną z wysp bomba atomowa zmusza rząd cesarza Hirohito do bezwzględnej kapitulacji.

Dzieje Japonii są pod wielu względami bardzo znamienne. Dlatego warto się z nimi zapoznać, żeby tym lepiej zrozumieć, jak samolubne władztwo jednej grupy obywateli wcześniej czy później doprowadza kraj do katastrofy...

Drugim, również ciekawym w tym piśmie, jest artykuł *E. Porębskiego* pt. „Sprawy zasadnicze". Tutaj znowu informuje autor na początku, ile to kosztowała świat zakończona niedawno wojna. „Łączne koszty wojny ostatniej — pisze — wynoszą, jak obliczają statystycy, około 730 miliardów dolarów, co przetłumaczone na złoto dałoby 1 miliard 219 milionów 100 tysięcy kg złota monetarnego. Gdyby z tego złota odlać kopię piramidy egipskie, to miałaby ona podstawę długości i szerokości 64 m. i wysokość 45 m. Objętość tej złotej piramidy wynosiłaby około 63.000 metrów sześciennych. Rozumie się, że takiej ilości złota na kuli ziemskiej nie posiadamy. Roczna produkcja złota na całym globie ziemskim wynosiła około 1.100 ton, a więc gdyby się chciało zapłacić za obecne zniszczenia złotem, należało by przez tysiąc lat gromadzić złoto z całego świata.

Straty Polski oszacowane są na sumę około 20 miliardów dolarów. Zniszczenie, które nas dotknęło, dotyczy wszystkich dziedzin życia"...

Dalej autor omawia kolejno rozmaite zagadnienia, związane z odbudową naszego kraju. A więc najpierw odżywienie ludzi, wycieńczonych głodowaniem wojennym; następnie odbudowa osiedli, potem zaopatrzenie w środki odzieżowe itd. Pod koniec autor stwierdza, że musimy zmienić obecnie naszą gospodarkę z przeważnie rolniczej na przemysłowo - rolniczą. „W pierwszym rzędzie — powiada — nasze rolnictwo należało by usprawnić w tym sensie, by z hektara roli wydobywać więcej, niż dotychczas. Mając fabryki związków azotowych, możemy prowadzić gospodarkę intensywną i z każdego hektara ziemi wydobywać więcej produktów, niż przed wojną. Oczywiście, że na ilość wyprodukowanych płodów rolnych wpływa klimat, jakość gleby, nasłonecznienie i wiedza rolnicza. Tak np. pszenicy najmniej produkuje Australia, Kanada i Argentyna, bo w granicach 800 do 900 kg z hektara. Polska produkuje średnio na przestrzeni ostatnich lat przed wojną od 1.100 do 1.200 kg; ale Niemcy, które nie mają lepszej gleby od naszej, produkowały 2.200 kg, przewyższając w tym rekordzie Egipt, który produkował od 1.700 do 2.100 kg. W dziedzinie ziemniaków rekord osiągnęła Anglia, produkując 17.200 kg z hektara, Polska osiągnęła 13.400"... „Na tym jednak nie koniec — pisze autor dalej. Można wyprodukować dużo płodów rolnych i sprzedać je tanio w stanie surowym, jako zboże, żywiec itp. Lecz można (i to właśnie w najbliższych latach należy postawić na najwyższym poziomie), by zamiast sprzedawać zboże—dostarczać zagranicy makaronu, sucharów, albertów; zamiast wywozić jabłka produkować wina i suszone owoce, konfitury itp. Na gruncie bogatej produkcji rolniczej należy rozwinąć i doprowadzić do najwyższych granic przemysł rolny."

I o tych sprawach musimy też myśleć w zespołach p. r.

Choć to obecnie pora najważniejszych i najpilniejszych robót w gospodarstwie, a więc nie bardzo jest czas na czytanie, to jednak w niedzielę można i należy wpaść na godzinę, dwie do świetlicy, żeby przynajmniej ważniejsze rzeczy przeczytać, a inne chociaż przejrzeć. Żeby nie tracić wątku w ciągłym dokształcaniu się.

P. S.

O lepszą przyszłość ogrodnictwa

Wiele spraw czeka dziś pilnego rozwiązania w Polsce. Wiele z nich musimy zaczynać od nowa, inne wymagają poprawy lub gruntownej reorganizacji. Należy tu m. in. zagadnienie ogrodnictwa. Od pomyślnego rozwiązania tego zagadnienia zależeć będzie w dużej mierze podniesienie ogólnego dobrobytu naszego.

Oto ogólny szkic obrazu, jaki przedstawia dzisiejsze ogrodnictwo w Polsce.

Ze wszystkich działów sadowniczy ucierpiał najwięcej w ciągu wojny. Widzimy tu katastrofalne zniszczenia, spowodowane zimą z r. 1939/40, kiedy to wymarzło około 2/3 naszych drzew owocowych w sadach zakładanych po r. 1928, a więc wchodzących w okres owocowania.

W zimie tej, jak i w poprzedniej, wymarzły w 90% odmiany obce. Drzewa, które przetrzymały zimę r. 1928/29 wyszły i po tej przeważnie zwycięsko. Z drugiej strony

działania wojenne i związane z nimi akcje dokończyły w wielu wypadkach dzieła zniszczenia, zapoczątkowanego przez mróz. Dochodzi do tego zmniejszenie wartości sadów, pozbawionych nawożenia i pielęgnacji oraz ochrony przeciw chorobom i szkodnikom.

W szkółkarstwie odczuwamy za małą produkcję młodych drzewek owocowych w stosunku do zapotrzebowania oraz stwierdzamy, że produkowany materiał nie zawsze nadaje się do naszych warunków klimatycznych i glebowych.

W warzywnictwie obserwujemy zmniejszenie powierzchni uprawnej warzyw oraz zmniejszenie wydajności z jednostki powierzchni. Daje się też zauważyć zmniejszenie przyśpieszonych upraw inspektowych i szklarniowych.

W ogrodnictwie ozdobnym widzimy wielkie zniszczenia urządzeń oraz drzew i krzewów ozdobnych, zapuszczenie lub wyniszczenie kwiatów trwałych. Brak roślin ozdobnych, kwiatów i zielonych trawników daje się zauważyć w większości miast i osiedli w Polsce.

Z obrazu tego wynika, że do sprawy ogrodnictwa trzeba się zabrać niezwłocznie i gruntownie, mając na uwadze i to, by nie popełniać błędów z przeszłości.

Zły bowiem stan ogrodnictwa jest powodem braku warzyw i owoców na rynkach miast polskich. Jest to tym dotkliwsze, że obecnie brak nam także mięsa, tłuszczów i chleba; posiadając zaś odpowiednią ilość warzyw i owoców, moglibyśmy braki te uzupełnić i tym sposobem zapobiec w wielu wypadkach grożącej nam klęsce głodu.

Oprócz tego świeże warzywa i owoce są przez zawarte w nich witaminy niezastąpione w prawidłowym odżywianiu człowieka. Brak witamin powoduje wiele zachorzeń lub niedorozwój organizmu ludzkiego.

Spożywanie świeżych warzyw i owoców jest więc konieczne dla zdrowia. Cóż, kiedy ich brak! Brak ten może się fatalnie odbić na dalszej zdrowotności społeczeństwa, jeżeli się temu nie zapobiegnie przez zwiększenie uprawy warzyw i drzew owocowych. Do wyhodowania warzyw i owoców mamy przecież odpowiednie warunki, nie brak nam ziemi uprawnej, nie brak też roślin, które by się na niej doskonale rozwijały i owocowały. Trzeba tylko rośliny te wyszukać, rozmnożyć i odpowiednio hodować, a wydadzą plony, o jakich czytaliśmy tylko ze sprawozdań zagranicznych.

Dlatego zwracam się tą drogą do młodzieży — szczególnie wiejskiej, by się kształciła liczniej niż dotychczas w zawodzie ogrodniczym ku pożytkowi własnemu i całego społeczeństwa.

Kto kocha przyrodę i chce mieć z nią do czynienia, kto lubi warzywa, owoce i kocha kwiaty, kto posiada odpowiednie warunki i zamiłowanie, może zająć się pracą w zakresie ogrodnictwa, bo do pracy na tym polu wiele potrzeba głów i rąk.

Jednym z polecenia godnych ośrodków nauki i kultury ogrodniczej jest Państwowe Gimnazjum i Liceum Ogrodnicze w Gumniskach pod Tarnowem, w byłej siedzibie Sanguszków. Jest to szkoła dobrze znana, mieszcząca się dawniej w Tarnowie przy ul. Bema 3. Posiada już swoją tradycję i zasługi na polu ogrodnictwa. Na nowym miejscu zyskała doskonałe warunki rozwoju: około 80 ha ziemi, zajęte przez szkółki drzew i krzewów owocowych i ozdobnych oraz przez sad doświadczalny i uprawy warzyw; około 10 ha zajmuje piękny park, otaczający budynek szkolny i zabudowania gospodarcze; obszerne, czyste i pełne światła sale wykładowe, świetlica, biblioteka, uczelnia, garderoba, łazienki — wszystko to składa się na to, że młodzież w takich warunkach czuje się doskonale i ma zapał do nauki; w świetlicy znajduje się aparat radiowy, dający w wolnych chwilach rozrywkę lub też wiadomości naukowe i polityczne ze świata.

Dobrze zapowiadające się warunki rozwoju spowodowały, że od ubiegłego roku szkoła została podniesiona do stopnia gimnazjum i liceum (koedukacyjne). Matura licealna daje więc możność wstępu na wyższe uczelnie.

Bliższych informacji udziela Dyrekcja Szkoły.

Józef Stus
uczeń 1-ej kl. liceum.

Zwalczanie błyszczki jarzynówki

Województwo białostockie (głównie pow. suwalski i augustowski) zostało nawiedzone plagą błyszczki jarzynówki, nie notowaną w Polsce w okresie ostatnich 24 lat. Gąsienice tego motyla—ćmy, zaatakowały silnie różne rośliny uprawne, głównie: groch, wykę, len, tytoń — a nawet ziemniaki. Gąsienice zżerają liście niemal całkowicie i przechodzą na coraz to inne pola. Obecne pokolenie gąsienic kończy już właściwie swój żer, ale w drugiej połowie sierpnia należy się spodziewać jeszcze bardziej zwiększonego pojawu tych gąsienic.

Sposoby walki (w zależności od stanu rozwoju i miejscowych możliwości):

1) ręczne zbieranie (na małych przestrzeniach) i niszczenie gąsienic, a także poczwarek, znajdujących się w oprzędzie na liściach; dla zmechanizowania zbierania mogą być użyte tzw. „ramy Miksiewicza", stosowane do **zwalczania słodyszka na rzepakach;**

2) oddzielenie silnie zaatakowanych pól rowkami o prostopadłych ściankach i niszczenie gromadzących się tam gąsienic;

3) opryskiwanie zaatakowanych pól roztworem arsenianu wapnia lub opylanie „Arsopulem"; stosowanie tych środków może mieć miejsce w zależności od możliwości: na całych polach lub częściowo — na pasach kilkunastu lub kilkudziesięciumetrowej szerokości dla powstrzymania czoła fali gąsienic, posuwającej się na pola jeszcze nie uszkodzone;

4) niszczenie chwastów na polu, jak również obkaszanie przylegających miedz, rowów, itp., skąd gąsienice po wylęgnięciu się z jaj przechodzą na rośliny uprawne;

5) nadsyłanie próbek szkodników (w stanie żywym) do Stacji Ochrony Roślin Izby Rolniczej, celem ustalenia okresów rozwojowych szkodnika oraz procentu opanowania przez pasożyty i choroby niszczące tegoż szkodnika.

Mgr E. Kamiński

Materiały do dożynków

Niejedno koło młodzieży wiejskiej albo nawet gminny związek będzie chciał urządzić po zbiorach u siebie dożynki. (W niedużych rozmiarach, bo na dobre przygotowanie pełnych dożynków nie starczy już czasu). Albo nawet zwykłą zabawę pożniwną, ale o programie, który by miał w sobie wartości kształcące i wychowujące i który by jednocześnie nadawał jej wyraźny swojski charakter. Po ciężkiej bowiem pracy przy żniwach młodzież powinna się zabawić. A i starsi również chętnie wezmą na pewno w tym udział, jeśli będzie się czemu przyjrzeć, tj. gdy taka półuroczystość—zabawa będzie odpowiednio przygotowana przez młodych i będzie na właściwym poziomie widowiskowym.

Jak to zrobić? Gdzie szukać odpowiednich wskazówek i materiałów? Otóż znaleźć je można w n-rze 6—7 mies. „Praca Oświatowa". Miesięcznik ten powinno sobie prenumerować każde koło młodzieży czy inna podobna organizacja. Bo w każdym zeszycie tego pisma są drukowane obok artykułów instrukcyjno-oświatowych także i materiały z zakresu „sztuki wychowującej", tj teatru ochotniczego, śpiewu i muzyki, jak również z zakresu zajęć świetlicowych (gier, zabaw zespołowych itp.).

Zarząd koła trapi się nieraz, jak tu urozmaicić pracę w zrzeszeniu, żeby miała w sobie naprawdę coś przyciągającego i jednocześnie kształcącego. Można tę trudność pokonać, gdy się będzie miało zawsze pod ręką odpowiednie materiały. Dostarcza ich w dużym stopniu miesięcznik „Praca Oświatowa", jako wydawnictwo Ludowego Instytutu Oświaty i Kultury w Warszawie (ul. M. Reja 9). Prenumerata wynosi: za cały rok — zł 150, za pół roku — zł 80, za kwartał — zł 50; zeszyt pojedyńczy kosztuje zł. 20. Konto PKO I-965.

Konkurs na opis przeżyć i doświadczeń w czasie pobytu poza Polską w okresie od 1939 r. do chwili obecnej

Poniżej przytaczamy odezwę Polskiego Instytutu Służby Społecznej w Łodzi, wzywającą młodzież wiejską do wzięcia udziału w konkursie, o którym mowa w tytule.

Ze swej strony pragniemy do słów odezwy dodać, że wśród tych wędrowców wojennych na obczyźnie było prawdopodobnie dużo spośród przedwojennych uczestników przysposobienia rolniczego. A ci, mając lepsze przygotowanie społeczne i zawodowe, na pewno innym, bardziej wnikliwym patrzyli okiem na to wszystko, co mieli możność widzieć i poznać u obcych. Byli także niezawodnie i ci, co dzisiaj są członkami zespołów p. r. i mają w wielu wypadkach — dzięki temu, że niejedno widzieli— jasny plan działania na drodze postępu gospodarczego i kulturalnego. I jednych i drugich zachęcamy gorąco do udziału w konkursie. *Redakcja*

DO MŁODZIEŻY WIEJSKIEJ, KTÓRA PRZEBYWAŁA W CZASIE WOJNY POZA KRAJEM.

Tysiące spośród was przebywało w obozach, pracowało w miastach i wsiach całej Europy. Wielu z was walczyło przeciwko Niemcom poza Polską w armiach polskich i sprzymierzonych.

Wyrwani ze swego środowiska zetknęliście się z zupełnie innym życiem, niż to, jakie przedtem prowadziliście.

Przeżyliście i zobaczyliście wiele. Mieliście możność porównania stosunków obcych z polskimi.

Gdy wróciliście do Ojczyzny, zastaliście wielkie zniszczenie i niejedną przemianę. Przeprowadzone zostały reformy społeczne z podziałem ziemi na cele. W związku z przesiedleniami i z osadnictwem na Ziemiach Odzyskanych miliony ludzi wędruje do innych gospodarstw na nowe życie i pracę. Czego chcecie dokonać wśród tych przemian?

Polski Instytut Służby Społecznej ogłasza konkurs na opis przeżyć, przemyśleń i spostrzeżeń młodzieży wiejskiej w czasie pobytu poza Polską oraz po powrocie do kraju.

OPISZCIE:

Jakie było moje życie od początku wojny aż do chwili obecnej, zarówno na obczyźnie jak i w kraju?

Co działo się ze mną na obczyźnie?

Jak podobały mi się zagraniczne urządzenia w porównaniu z naszymi?

Jakie doświadczenia przywiozłem i jakie z nich wnioski wysnuwam? Do czego dążę? Co chcę zrobić? Do czego chcę się przyczynić?

WARUNKI KONKURSU:

1. W konkursie mogą brać udział: młodzi mężczyźni i kobiety.
2. Życiorys—pamiętnik powinien odnosić się do lat 1939 — 1946.
3. Rozmiary życiorysu powinny obejmować od 20 do 30 stron pisanych własnoręcznie.
4. Najlepsze prace nagrodzone będą w sposób następujący:

   Pierwsza nagroda . . 10.000 zł.—
   Dwie drugie nagrody po 6.000 zł.—
   Trzy trzecie nagrody po 4.000 zł.—

5. Rękopisy stają się własnością Polskiego Instytutu Służby Społecznej z prawem wydrukowania.
6. W skład sądu konkursowego wchodzą przedstawiciele: Instytutu Gospodarstwa Społecznego, Ludowego Instytutu Oświaty i Kultury, Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych, Z.M.W. „Wici", Związku Nauczycielstwa Polskiego, oraz inż. A. Grabski, mgr A. Kamiński, prof. H. Radlińska, dr K. Zawistowicz.
7. Termin nadsyłania prac do dn. 31 stycznia 1947 r. pod adresem: *Polski Instytut Służby Społecznej* Łódź, ul. Trębacka Nr 3, m. 2.

REDAGUJE KOMITET. ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI — WARSZAWA 22, UL. M. REJA 9.
Konto P. K. O. I-1783.

REDAKTOR: *PIOTR BANACZKOWSKI.*

PRENUMERATA WYNOSI: rocznie zł. 60, półrocznie zł. 30, kwartalnie zł. 15.
Nadesłanych rękopisów Redakcja nie zwraca. Druk. Samop. Naucz. Spółdz. z odp. udz. Raszyńska 22: B-10124